

Ks. mgr T. GORGOL

KAPŁAŃSTWO

Każdy człowiek przychodzi na świat z pewnymi skłonnościami i dyspozycjami, zaś wychowanie, środowisko i wykształcenie kształtuje go i formuje jego osobowość.

Młodzi ludzie często szukają sensu życia. Jedni znajdują go w twórczej pracy — w przemyśle, inni na łonie natury, jeszcze inni na innych odcinkach pracy, ale jest też grupa, która w pewnym okresie życia czuje powołanie do specjalnego stanu, do służby w Kościele Chrystusowym, słyszy Chrystusowe — „pójdź za mną” i od tej pory postanawia służyć Temu, który ich do tej służby powołuje.

Nie każdy człowiek może sprawować i udzielać sakramenty św., odprawiać Mszę św., nauczać ludzi prawd bożych. Czynności te mogą spełniać ci, którzy otrzymali od Pana tę władzę. Władzy tej może im udzielić Jezus w ustanowionym Sakramencie Kapłaństwa. Jezus Chrystus ustanowił Apostołów kapłanami wtedy, kiedy Im polecił przemieniać chleb w Ciało, a wino w Krew, kiedy Im dał władzę odpuszczania grzechów, chrzczenia, kiedy wreszcie Ich wysłał na cały świat, by głosili Ewangelię.

c. d. str. 7



Madonna
z Dzieciątkiem

ÓSMA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

„Czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości: aby, gdy ustaniecie, przyjęli was do wiecznych przybytków” (Łk. 16, 9).

W dzisiejszej Ewangelii św. mówi nam Pan Jezus, abyśmy tu na ziemi tak żyli, żeby nas po tym życiu do „wiecznych przybytków” przyjęli. Tymi przybytkami to niebo, gdzie sprawiedliwi żyją wiecznie u Boga i z Nim razem cieszą się szczęściem niepojętym. „Sprawiedliwi na wieki żyć będą, a u Pana jest ich zapłata” (Mądr. 5, 16). Żyć wiecznie to znaczy, być połączonym na wieki z Tym, który sam jeden ma żywot w Sobie.

„Sprawiedliwi na wieki żyć będą”. Zdanie to nie neguje, że i niesprawiedliwi także żyć będą, lecz ponieważ będą z dala od Boga przeto ich bytowanie w wieczności, Pismo św. nie nazywa życiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Każdy z nas chciałby żyć wiecznie, a tym bardziej ci, którzy są zdrowi i dobrze im się powodzi. Nawet i źle się mający szukają przeróżnych sposobów, aby się wyleczyć, aby swe nawet ciężkie życie jak najdłużej tu na ziemi zachować. Nic w tym dziwnego, ponieważ Bóg dał człowiekowi życie i nakazał je podtrzymywać. Jeżeli my, ludzie, tak kochamy już to nikłe życie ziemskie, najeżone trudnościami i przykrościami, to o ileż więcej przedmiotem całej naszej miłości i tęsknoty winno być życie wieczne. „gdzie śmierci dalej nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani bóleści więcej nie będzie” (Objaw. 21,4). „Oko nie widziało, ucho nie słyszało, w serce człowiecze nie wstąpiło”, co Bóg nagotował tym, którzy go milują” (1 Kor. 2,9).

Na to szczęście trzeba sobie tu na ziemi zasłużyć. Należy pilnie przestrzegać przykazań Bożych i żyć w kontakcie z Kościołem. Ci, którzy wieczne szczęście, jakim jest niebo, osiągną, mogą być spokojni, że ono będzie trwało zawsze. „Będzie się radowało serce wasze, a radości waszej żaden od was nie odejmie” (Jan 16,22).

Bywa, że niektórzy kaznodzieje mówiąc o życiu wiecznym, raczej więcej miejsca poświęcają na omawianie wiecznej nieszczęśliwości, czyli piekła, niż nieba. Chcą może przez to wywołać u słuchaczy jakiś lęk przed tą niewiadomą i ustrzeć ich od grzechu. Sądzę, że to nie jest właściwa droga nauczania, że raczej winno się mówić o tym, co piękne i wzniosłe, co uszlachetnia życie człowieka, co je podnosi z tego wszystkiego co niskie i przyziemne, a prowadzi przed tron Boży. Zagadnienia eschatologiczne, jak już kiedyś powiedzieliśmy są bardzo trudne, ale dlatego, że są trudne, nie należy ich wykorzystywać do budzenia lęku przed tą długą drogą życia bez końca, ale owszem w sposób pozytywny wskazywać wiernym sposoby do osiągnięcia szczęścia wiecznego. Współczesny człowiek ma dość strachu, przeżył tu na ziemi w okresie okupacji straszliwą gehennę i dlatego wszystko, co technie strachem i krzywdą, razi go i zniechęca. Wystarczy, że wiemy o istnieniu piekła, wystarczy, że znamy na ten temat naukę Kościoła i wiemy kogo to nieszczęście może spotkać. Jesteśmy przecież ludźmi rozumnymi i do Boga nie lęk ma nas przywołać, ale wielka miłość, która budzi się przez poznanie. Pragniemy, aby na

sprawy wiary ludzie wierzący patrzyli nie przez pryzmat strachu, obawy, ale przez pryzmat rozumu i miłości. Tam, gdzie wiara jest podtrzymywana tylko przy pomocy siły, gwałtu, klątw i straszenia piekłem, taka wiara nie jest godna Boga i człowieka, który nosi dumne miano „homo sapiens”.

Niestety u nas w Polsce jakże często spotykamy się z tego rodzaju objawami trzymywania swoich wiernych w ryzach, przez strach i klątwy. Wielu duchownych rzymskokatolickich, choć wiedzą, że kłamią przed samym ludem i sobą, to jednak, aby nie stracić w wartościach materialnych, straszą swoje owieczki wiecznym piekłem dlatego tylko, że przychodzą do Kościoła Polskokatolickiego, że w nim chcą się modlić, że tu znajdują odpowiednią atmosferę do nawiązania kontaktu z Bogiem. Gdyby ci właśnie mający pretensje do myślenia chcieli sobie wtedy zadać trochę trudu i wyczerzyć intelekt, nawet niezbyt mocno, to doszliby do wniosku, że coś tu nie jest w porządku, że nastąpiło jakieś pomieszanie pojęć, że za modlitwą, za uczestniczeniem we Mszy św. nie może grozić kara, ale wręcz odwrotnie, nagroda. Żaden przecież z tych nawet straszących, po odpowiednich studiach teologicznych, nawet watykańskich, nie może powiedzieć, że Msza św. odprawiana przez kapłana polskokatolickiego jest nieważna, jedynie mówi, że odprawia „valide sed non licite” (ważnie lecz niegodnie). Czy w rzymskim godnie? — to już inna sprawa. W każdym razie współczesny człowiek winien zdać sobie sprawę z tego, gdzie jego miejsce, jaką drogą winien jako katolik i Polak dążyć do Boga.

Nasz Kościół nie chce nikogo siłą ani podstępem prowadzić do Boga. Wykładamy prawdę religijną zawartą w Piśmie św. i Tradycji zgodnie z życzeniami Jezusa Chrystusa. Do Niego nie zbliżali się ludzie dlatego, że ich ktokolwiek przymuszał, ale jedynie urok i wdzięk jego osoby oraz nauka i czynione cuda sprawiły, że miał przy sobie całe rzesze słuchaczy. Chrystus Pan dzieła nawrócenia nie dokonał w ciągu trzech lat, a i dzisiaj choć upłynęły setki lat, świat w dalszym ciągu nie jest chrześcijański. Metoda bowiem strachu i siły zawiodła, trzeba wrócić do miłości i do pozytywnej nauki. Zapewne, gdyby nauka Pana Jezusa była ściśle realizowana, to dziś nie byłoby rozbięcia religijnego, a jeśliby nawet zaistniało, to na drodze prawdy i szczerości szybko zostałoby zlikwidowane.

Na życie wieczne patrzymy okiem rozumu i wiary, a nie lęku i bezgranicznej rozpacz. Nie dziwny się też temu, że ci którzy tak pięknie mówią i piszą o niebie, sami bronią się przed nim przez intensywne leczenie się i podtrzymywanie życia ziemskiego, bo to leży w naturze ludzkiej i nakazane jest przez pozytywny prawo Boskie.

Myśl o wiecznym niebie niech nas krzepi i podnosi dusze nasze. Ta myśl odgrywała wielką rolę w życiu pierwszych chrześcijan, a w szczególności, gdy byli prześladowani i męczeni. Niech i nasze trudne chwile życia esładza myśl, że po trudach ziemskich i niepowodzeniach czeka nas inne, spokojne i radosne życie w Bogu.

Ks. mgr Z. MĘDREK



z listu św. Pawła Apostoła do Rzymian (8, 12-17)

Bracia: Nie ciała dłużnikami jesteśmy, abyśmy według ciała żyć mieli. Jeśli bowiem według ciała żyć będziecie, pomrzecie, ale jeśli duchem sprawy ciała umartwicie, żyć będziecie. Którychkolwiek bowiem ożywia Duch Boży, ci są synami Bożymi. Bo nie otrzymaliście ducha przybrania za synów i w duchu tym wołamy: Abba (Ojciec)! A sam Duch daje świadectwo duchowi naszemu, żeśmy synami Bożymi. A jeśli synami, to i dziedzicami Bożymi, a współdziedzicami Chry-



EWANGELIA

Według św. Łukasza (16,1-9)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Był człowiek pewien bogaty, który miał włodarza, a tego zniesławiono przed nim, jakoby trwonił dobra jego. I przywoławszy go, rzekł mu: Cóż to słyszę o Tobie? Zdad sprawę z włodarstwa twego, już bowiem nie będziesz mógł włodarzyć. I mówił włodarz do siebie: Cóż ja pocznę, gdy Pan mój odejmie mi włodarstwo? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem co uczynię, abym, gdy będę złożony z włodarstwa, przyjęli mię do domów swoich. Zwoławszy tedy z osobna dłużników Pana swego, powiedział pierwszemu: Ile jesteś winien Panu memu? A on rzekł: Sto barył oliwy. I powiedział doń: Weź zapis swój i siądź natychmiast, a napisz pięćdziesiąt. Potem do drugiego: A ty ileś winien? O on odpowiedział: Sto korców pszenicy. I rzekł mu: weź zapis swój, a napisz osiemdziesiąt. I pochwalił Pan przewrotnego włodarza, że roztropnie uczynił. Albowiem synowie tego świata rozropniejsi są wśród podobnych sobie niż synowie światłości. Ja wam powiadam: czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy pomrzecie, przyjęto was do wiecznych przybytków.

O DEPOZYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIEJ WIARY



Kościół otrzymał od swego założyciela Jezusa Chrystusa, pewną ściśle określoną ilość prawd religijnych. Ten zespół czy zasób prawd chrześcijańskich Ap. Paweł nazwał depozytem, gdy pisał: „O Tymoteuszu, strzeż depozytu, unikając niezbożnych nowości słów i sprzeciwów fałszywie nazwanej wiedzy, którą wyznając niektórzy, odpadli od wiary” (1 Tym. 6. 20—21).

Najlepszy komentarz na temat słów Ap. Pawła napisał w V wieku św. Wincenty z Lerynu: „Cóż to jest depozyt? Jest to coś, co ci powierzono, a nie to, coś sam wynalazł; to — coś otrzymał, a nie to, coś wymyślił; to czego jesteś stróżem a nie twórcą. „Strzeż depozytu” — znaczy: zachowaj talent wiary katolickiej nienaruszony i nietknięty — Otrzymałeś srebro, oddaj srebro — a nie podrzucaj mi czegoś innego, nie podkładaj na miejsce srebra podstępnie albo ołowiu, albo innych rzeczy bez wartości. Niechaj po twoim wykładzie lepiej będzie rozumiane to, w co dotychczas wierzone niejasno, ale ucz tylko tego, czegoś się nauczył. Nie opowiadaj rzeczy nowych, gdy uczysz w sposób nowy...” (Commonit 1, nr 22).

Poszczególne prawdy religijne zawarte w depozycie wiary noszą nazwę dogmatów (od grec. dogma — sąd, zdanie, postanowienie, decyzja, orzeczenie).

W życiu codziennym (świeckim) dogmaty są uważane za twierdzenia przyjmowane za pewnik tylko na zasadzie autorytetu, a więc bezkrytycznie, na ślepo. Dogmatyzm uznaje się powszechnie za coś ujemnego, za wyraz umysłowego ograniczenia, zaślepienia czy nawet fanatyzmu. Wzięto tutaj wyraz używany w teologii i zastosowano do spraw nie mających z teologią nic wspólnego. Powstało z tego tzw. pomieszanie pojęć. Jeżeli ten proces pójdzie dalej, katechizm będzie musiał zrezygnować z wyrazu „dogmat” a zastąpić go słowem „zasada” lub „prawda wiary”.

Nie ulega wątpliwości, że prawdy wiary przyjmujemy wyłącznie „na zasadzie autorytetu”, lecz autorytetu Boga, Jezusa Chrystusa. Stąd wszystkie prawdy wiary zawarte w depozycie musi przyjąć chrześcijanin, jeśli chce za takiego uchodzić.

Ilość prawd wiary chrześcijańskiej od czasów apostoelskich po dzień dzisiejszy nie zwiększyła się ani o jedną prawdę. Pozornie wydaje się z tym nie zgadzająca historia chrześcijaństwa stwierdzająca ogłaszanie na soborach wielu „nowych dogmatów”. Nie ma tu jednak żadnej sprzeczności. Nie wszystkie prawdy wiary (zawarte w depozycie) były znane jednakowo chrześcijanom z pierwszych wieków i chrześcijanom z wieków późniejszych. Wyrazistość, jasność i świadomość pojmowania zasad wiary budziła się powoli, rozwijała się w miarę coraz pełniejszego poznawania treści depozytu wiary. Jednakże wzrastająca świadomość

pojmowania dogmatów Chrystusowych nie polegała (i nie może polegać) na dorzucaniu do depozytu nowych treści, jak to się przydarzyło Kościołowi Rzymskokatolickiemu, który do depozytu dodał „dogmaty” o prymacie i nieomyślności papieża. Jest to właśnie „niezbożna nowość” potępiona przez Ap. Pawła.

Wspomniany już św. Wincenty z Lerynu słusznie zauważył, że nauka Chrystusowa powinna wzrastać, ale ma to być wzrost podobny do wzrostu człowieka, a nie np. do wzrostu miasta. „Wielka jest różnica pomiędzy kwiatem dzieciństwa a dojrzałością starości, lecz ci sami stają się starcami, którzy byli młodzieńcami”.

Obok jednak tych, co do depozytu wiary chcą dorzucić coś swojego, istnieje wielu takich chrześcijan, co z owego depozytu chcą wyrzucać niektóre dogmaty pod pretekstem, że są one wymysłem ludzkim, zwłaszcza zaś „wymysłem rzymskim”. Ci „depozytoburcy” powinni pamiętać, że żaden Kościół nie ma prawa tworzyć nowych zasad wiary, że prawdy znajdujące się w depozycie wiary nie są wymysłem ludzkim. Jeżeli zaś ma się co do tego jakieś wątpliwości, należy wpiery sumiennie sprawę zbadać, a potem wyrokować, nie odwrotnie. Wołanie o tzw. „Ewangelię czystą” niejednokrotnie stanowi popositłą demagogię.

Spotkać się można wśród chrześcijan jeszcze z grupą ludzi żyjących „bez dogmatu” pod pretekstem, że nie uznają skostnienia i konserwatyzmu, że są za postępem i przystosowaniem zasad wiary do „życia” nie odwrotnie. Ich stanowisko — o ile szczere i poważne — wypływa z nieporozumienia. W wielu dziedzinach wiedzy świeckiej nie można się obejść bez pewnego „skostnienia” czy „konserwatyzmu”. Pitagoras, Euklides czy Archimedes żyli kilka wieków przed Chrystusem, a przecież postawione przez nich „dogmaty” z dziedziny matematyki czy fizyki obowiązują i po teorii Einsteina o „względności wszystkiego”. Dwa i dwa jest cztery od początku świata i żaden postęp cywilizacji oraz techniki tego nie zmienia.

Inną całkiem sprawą jest stałe unowocześnianie metod nauczania prawd wiary a inną — szukanie dróg życia religijnego „bez dogmatów” czyli bez zasad ustalonych przez Jezusa Chrystusa przed dwudziestym wiekiem. Słuszne jest wołanie chrześcijan o przystosowanie nauki katechizmu do mentalności człowieka z ery atomowej, niesłuszne jest odrzucanie katechizmu z powodu lądowania kosmonautów na księżycu. „Jeśli kto inaczej uczy, a nie trzyma się zbawionych nauk Pana naszego Jezusa Chrystusa i tej nauki, która wiedzie do pobożności, ten jest pyszny i nie umie, a tylko choruje na wszczywanie klótni i walk o słowa” (1 Tym. 6. 3—4).

Ks. dr S. WŁODARSKI

KIEDY PRZED DWUDZIESTU LATY powołano do życia Organizację Narodów Zjednoczonych, a działo się to w San Francisco w 1945 r. ileż nadziei i nieklamanej wiary przywiązywano do Karty Narodów Zjednoczonych.

W dwudziątą rocznicę powstania ONZ w tym samym San Francisco odbyły się uroczystości jubileuszowe, w których wzięli udział przedstawiciele państw członkowskich. Spośród szefów rządów wziął udział również i prezydent Stanów Zjednoczonych JOHNSON, który wygłosił przemówienie okolicznościowe, zawierające m. in. apel do tej międzynarodowej organizacji o „pomoc w przywróceniu pokoju w Wietnamie”. Prezydent apelował również do podjęcia walki z nędzą, nadmiarem przyrostu naturalnego na świecie oraz wyścigu zbrojeń.

Słowom prezydenta towarzyszyły ironiczne uśmiechy słuchaczy, a z ulicy dochodziły odgłosy tłumów demonstrantów, którzy zgromadzili się przed gmachem, w którym odbyło się pierwsze posiedzenie ONZ. Demonstrujący wznosili okrzyki: „Ręce precz od Wietnamu”. Słowa JOHNSONA przyjęte zostały przez opinię publiczną ze zdziwieniem. Zdziwienie było tym większe, że apel padł z ust człowieka, który odpowiedzialny jest za paraliż ONZ jak również za rozszerzenie działań wojennych w Wietnamie, intrygi w Dominikanie i w Ameryce Łacińskiej.

Dziennikarze przypominają wypowiedź SENATORA JOHNSONA, wygłoszoną w okresie wojny w Korei. Wtedy to dzisiejszy prezydent oświadczył: „byłoby błędem posyłać amerykańskich żołnierzy na krwawą zabawę w bagnach Indochin”. To co potępiał SENATOR JOHNSON, to obala PREZYDENT JOHNSON. On to właśnie zasiła wojskami USA linie frontu w bagnistym Wietnamie.

Wiadomo powszechnie, że Stany Zjednoczone wplątały się w nie lada kabałę rozszerzając wojnę w Wietnamie.

Wobec beznadziejności i braku jakichkolwiek perspektyw na zwycięskie przeprowadzenie ofensywy militarnej, JOHNSON musi szukać sojuszników i pośredników, którzy by wyciągnęli oliwną gałązkę. Inicjatywa premiera Wspólnoty Brytyjskiej — Wilsona okazała się całkowitym niewypałem, gdyż u jej podstaw leżał zasadniczy błąd, polegający na całkowitym wyeliminowaniu strony wietnamskiej, która padła ofiarą bezpośredniej agresji ze strony USA. (O)



Zjechali do Rzymu bez rozgłosu, prawie ze po kryjomu, 218 mężczyzn, reprezentujących różne narodowości. Drzwi domu, w którym się zbrali, w którym obradowali, spali i jedli — były szczelnie zamknięte za nimi. Jezuiti nigdy nie lubili niepokojeni być zbyt ciekawością postronnych, a cel, w którym się teraz zbrali, był szczególnie ważny: wybór nowego generała. 28 bowiem sukcesor Ignacego Loyola wszedł z tego świata pod koniec 1964 roku.

Wyznaczenie następcy miało kapitalne znaczenie dla całego Kościoła. Wytyczyło bowiem orientację Stowarzyszenia w chwili, kiedy katolicyzm znajduje się w przededniu reform i to w dodatku w skali niespotykanej od XVI wieku.

Utarta opinia głosi nie bez racji, że jezuita — „czarna potęga Kościoła”, „najdoskonalsza zręczność”, „mordercy z Port-Royalu” — stanowią integralne państwo w państwie, są żołnierzami potężnej armii. Ich to właśnie oficerowie wybrali 22.V. 1965 r. swego nowego generała. Został nim 68-letni prowincjał Zakonu z Japonii, pochodzenia baskijskiego, ojciec **Pedro Arrupe**, wybrany dożywotnio.

Pełna reprezentacja poszczególnych okręgów — Stowarzyszenie bowiem ignoruje administracyjne granice państw czy narodów, zachowując swój własny podział świata na prowincje — po dokonaniu wyboru, zamknęła swoje obrady.

* * *

Jest rok 1521. Katolicyzm europejski pęka w za ciasnych, skrojonych przez średniowiecze szwach. Niewiele to jednak obchodzi zajętych swoimi sprawami, dzielnych obrońców hiszpańskiego miasteczka Pampluny, obleganego właśnie przez armię francuską.

Kula nieprzyjacielskiego działa trafia w nogi jednego z obrońców. Nazwisko młodego zabijaki: **Ignacy Loyola**. W kilka lat później kronikarz Pampluny kreśli portret tego oficera: „**Nosi skórzane spodnie, miecz i pistolet. Jest perfidny, brutalny i mściwy**”.

Wydalony z armii awanturник, zastanawia się nad swym dalszym losem. Dochodzi do wniosku, że walka o katolicyzm stwarza dużo większe możliwości, niż angażowanie się w rywalizację jakichś świeckich monarchów. Jego hiszpański temperament nie uznaje półśrodków. Swoją miecz i rozum ofiarowuje Bogu. Miecz co prawda nie przyda się na wiele, rozum natomiast dokona prawdziwej rewolucji.

Działalność swą zaczyna pisząc sławne „Ćwiczenia duchowe”, które staną się fundamentem przyszłego Stowarzyszenia.

W Paryżu, do którego przyjeżdża, organizuje pierwszą grupę. 15 sierpnia 1534 roku w kościele na Montmartre ogłasza trzy podstawowe tezy, w ostatniej chwili, jakby na marginesie, dorzucając czwartą, mówiącą o

posłuszeństwie papieżowi. Ruch antyreformatorski zostaje stworzony. Paradoxem jego jest fakt, że właśnie on popchnie Kościół na drogę olbrzymich, niespotykanych w historii reform. Loyola ma 44 lata. W sześć lat później, w bulli „Regimen Militantis Ecclesiae”, papież oficjalnie uzna Stowarzyszenie, a w 1541 Ignacy wybrany zostanie dożywotnim generałem „ad majorem Dei Gloriam”.

Pierwsze zadanie to zatrzymać Reformację, która niepokojąco rozprzestrzeniła się w Europie. Objęta nią jest już Anglia, Szwecja, i Dania, poważnie zagrożona Polska, Niemcy, Francja, Szwajcaria i Holandia. Loyola kontratakuję na trzech frontach

Przed wszystkim **kazania**. Muszą być odpowiednio przystosowane w zależności od warunków i środowiska, w którym są głoszone.

Następnie to **akcja rozszerzania wpływów**. Istnieją przecież ludzie, którzy poprzez swój osobisty autorytet, bogactwo czy władzę, posiadają większe niż normalnie wpływy na swoje otoczenie. Do nich to trzeba dotrzeć, przyjść z pomocą w rozwiązywaniu osobistych trudności i tym samym pozyskać ich dla sprawy.

Wreszcie rzecz niezwyklej wagi: **taktyka**. Loyola po raz pierwszy zwraca uwagę na zasadniczą różnicę, jaka istnieje pomiędzy strategią a taktyką. Strategia jest to rzecz z góry ustalona, taktyka zaś zależy od indywidualnego geniuszu, wypracowuje się na miejscu w zależności od warunków i okoliczności, nie znosi biurokracji i hamowania inicjatywy. Musi być **giętka i elastyczna**. Inaczej mówiąc: „**cel uświęca środki**”.

Sobór lat 1545—1563 to właśnie wielki triumf taktyki jezuickiej. Dwaj doradcy papieża, zarazem najbliżsi współpracownicy Loyola, cierpliwie przez długie miesiące i lata, przygotowują grunt, by wreszcie w ciągu ostatnich pięciu miesięcy ostatecznie złamać opozycję i rozstrzygnąć wszystkie problemy organizacyjne i doktrynalne po swojej myśli. Ich to zasługa, że Kościół rozbił ostatecznie Reformację i bez większych kłopotów przetrwał aż do pontyfikatu Jana XXIII.

Te trzy podstawowe metody działania, dziś są tak samo aktualne, jak były i wczoraj. Są może tylko bardziej precyzyjne. Właściwie udoskonaliła się metoda wywierania wpływów. W nomenklaturze jezuickiej nazywa się to „systemem mnożenia”: **lepiej pozyskać jednego człowieka, za którym stoi stu, niż kilku nawet ale odosobnionych**.

Inteligencja została podniesiona w Stowarzyszeniu do rangi cnoty: umieć rozpoznać i wybrać, przejść obok rzeczy mniej ważnych, by skoncentrować się na zasadniczych, decydować czy wybrana droga jest najlepszą z możliwych, a jeśli nie, umieć z niej zawrócić.

Z początkiem XVII wieku, ojciec Nobili łąduje w Indiach. Kilku znajdujących się już tam chrześcijan rekrutuje się z niższych klas

społecznych. Nobili błyskawicznie ocenia sytuację: goli głowę, tatuuje czoło, przywleka żółto-purpurową szatę, buduje szałas i rozpoczyna pustelnicze życie. Zaciekawieni braminini decydują się na odwiedzinę. Nobili przedstawia się jako **Tatuwa Podapar Suami** czyli „mistrz 96 mądrości braminizmu rzymskiego”. Wkrótce potwierdza się słuszność obranej drogi. Otwiera szkołę i pisze dzieło, w którym zasady chrześcijaństwa wyklada za pomocą przypowieści hinduskich. Unika wszelkich kontaktów z pariasami tak dalece, że nawet komunię podaje im za pomocą patyczków.

Mateo Ricci dociera do Chin w XVI wieku, przywoząc cesarzowi w prezencie wspaniały zegar „**dzwon, który sam dzwoni**”. Zjednuje sobie tym cesarza. Iż z miejsca staje się jednym z jego faworytów. Ricci szybko przyswaja sobie język mandarynów, pismo, nauki matematyczne i fizyczne i już w roku 1599 otwiera własną szkołę. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że katolicyzm nie nadaje się do przeszczepienia na grunt chiński. Pisze więc dzieło Tien Tchi Che-i („Prawdziwa doktryna Boga”), w którym zasady katolicyzmu, bez większych skrupułów nagina do bogatej tradycji chińskiej, jej kultu przodków i nauki Konfucjusza. W roku 1617 posiada już 13 tys. nawróconych, w dodatku rekrutujących się z najbliższego otoczenia cesarza.

W kilka lat później, przybywający tam dominikańscy misjonarze, przerażeni są chińską interpretacją katolicyzmu. Jeden z nich wraca do Rzymu, by domagać się położenia kresu inicjatywie jezuickiej. Po długich walkach, papież Klemens XI potępia eksperyment, skazując tym samym automatycznie na śmierć katolicyzm w Chinach

Przykładów tego rodzaju działalności jezuitów można by przytoczyć znacznie więcej. Elastyczność stosowanych metod bardzo często narażała Stowarzyszenie na nieprzyjemności ze strony władz świeckich. Od chwili założenia Stowarzyszenia, różne kraje 53 razy wyganiały ich ze swych terytoriów. Sama tylko Francja zrobiła to pięć razy (ostatni raz w 1901 roku), a dzisiaj działalność ich zabroniona jest np. w Szwajcarii.

Jezuici nie rezygnują jednak z walki. W początkach XX wieku obserwujemy wyraźne przestawienie się jeżeli chodzi o szukanie wpływów. Dzisiejsi władcy to nie wysoko urodzeni, lecz naukowcy, inżynierowie, przemysłowcy, politycy. Stąd też ekskluzywne szkoły jezuickie, kształcące młodzież rekrutującą się z tych środowisk, młodzież, która w przyszłości sama zajmie odpowiedzialne stanowiska.

Wyraźny podział ideologiczny świata postawił Stowarzyszenie w obliczu zupełnie nowej sytuacji. Do tej chwili jezuita nie przeszedł jeszcze do otwartej ofensywy. Po prostu nie są do niej jeszcze wystarczająco przygotowani. Ograniczają się na razie do szukania właściwych metod. Temu właśnie służą stworzone przez nich „naukowe ośrodki” zajmujące się np. analizą stosunków ekonomicznych i społecznych Związku Radzieckiego czy państw demokracji ludowej.

Pierwszą jaskółką konkretnej walki ideologicznej było sformułowanie i wydanie w dużym nakładzie książki, pod znamienym tytułem „**Myśli Karola Marksa**”.

Aktualnie zakończony wybór generała Stowarzyszenia, jak już powiedzieliśmy, ma kapitalne znaczenie dla całego katolicyzmu. Każdorazowy przywódca nie bez racji zwany jest przecież „czarnym papieżem”. Historia Kościoła notuje wiele wypadków, gdzie właśnie on miał dużo więcej do powiedzenia od prawdziwego papieża.

Jezuici nadal stanowią najbardziej konsekwentnie i najlepiej zorganizowaną siłę w Kościele katolickim a metody, którymi tak zrećnie się posługują, stawiają ich w rzędzie najniebezpieczniejszych ideowych przeciwników

Powiat wołomiński nazywają tu i ówdzie matecznikiem zbójów, chuliganów i złodziei. Czy słusznie?

Zła sława tego skrawka Polski poczęta została głównie w pociągach, na stacjach i przystankach kolei elektrycznej łączącej Wołomin z Warszawą oraz kolejki wąskotorowej łączącej Radzymin ze stolicą. Na tych trasach komunikacyjnych rzeczywiście spokojny obywatel może oberwać guza na czole lub postradać portfel. Tutaj dokonują się często krwawe porachunki wzajemne podejrzanych typów lub rozwydrzonej młodzieży. Wystarczy raz przejechać się wieczorem z Warszawy do Radzmina, aby rzucić się w oczy niepokojący fakt. Oto większość konduktorów najwyraźniej boi się sprawdzać bilety u młodych, aroganckich i przeważnie pijanych ludzi. Zastraszeni funkcjonariusze PKP robią dobrą minę do złej gry i zadowalają się słownym oświadczeniem podróżnego: „Miesięczny”. Pewien mieszkaniec Radzmina przechwalał się w rozmowie ze mną, że w ciągu ostatnich sześciu lat ani razu nie kupił biletu, chociaż co najmniej dwa razy każdego dnia korzysta z usług „ciuchci”. Nie wiem, jak sobie radzi Dyrekcja Kolejek Wąskotorowych w Warszawie z problemem rentowności... Hamulce bezpieczeństwa w wagonach służą głównie do zatrzymywania pociągów przed domami chuliganów. W styczniu bież. roku w Drewnicy w samo południe trzech młodych ludzi napadło na staruszkę, który wysiadł z pociągu i wolnym krokiem, kilkadziesiąt metrów za dużą grupą ludzi, zdążył do domu. Napastnicy oszołomili silnym ciosem swoją ofiarę, zaciągnęli ją w krzaki i zrabowawszy 600 zł, zbiegli. Ostatnio z dziwną systematycznością ktoś okrada mieszkania w miejscowościach leżących wzdłuż trasy „ciuchci”. To są tylko przykłady. Na wielbłądziej skórze nie udałoby się spisać wszystkich nieprawości i wykroczeń popełnianych w ciągu, dajmy na to, miesiąca w powiecie wołomińskim.

Dlaczego tak się dzieje? Może milicja jest za mało operatywna? Wydaje się, że to nie jest tylko problem milicyjny. Jedno z głównych źródeł zła tkwi w ogromnej migracji ludności i w dysproporcjach cywilizacyjnych. Warszawa jest wielkim ośrodkiem przemysłowym. Jej rynek pracy odznacza się chłonnością. Z całej Polski spieszają tutaj ludzie uczciwi i solidni, lecz także tacy, którzy na gwałt pragną zrobić karierę, a którzy nie mają ku temu odpowiedniego wykształcenia i praktyki zawodowej. Do stolicy, jak ómy do światła, zlatują się wszelkiego rodzaju męty społeczne, poszukiwacze przygód i łowcy wrażeń. A w Warszawie obowiązują ograniczenia meldunkowe Kierownictwa stołecznych zakładów przemysłowych i instytucji przyjmują w zasadzie do pracy tylko tych, którzy mieszkają w stolicy lub w miejscowościach oddalonych od niej najwyżej o 30 kilometrów. A więc cała ta olbrzymia masa przybyszów melduje się w Żąbkach, Zielonce, Wołominie, Drewnicy, Markach, Radzyminie i innych osiedlach leżących wzdłuż linii kolejowych i próbuje brać los za róg. Ale w praktyce bywa raczej odwrotnie. Wyrwani ze swych dotychczasowych środowisk, pozbawieni opieki i pomocy rodziny młodzi ludzie zaczynają pływać po powierzchni życia i często staczą się w błoto moralne. Razem z tą napływową ludnością codziennie rano podążają do Warszawy i wieczorem wracają do domów tysiące rodowitych mieszkańców powiatu wołomińskiego. Powiat ten jest bowiem słabo uprzemysłowiony. Tutaj nie ma pracy dla wszystkich. Nie ma także dostatecznej ilości szkół, szczególnie średnich i zawodowych. Po pracę i naukę trzeba jechać do stolicy. Tak więc ogromna masa ludzi spędza stałe część doby w jednym „świecie”, a część w drugim, zupełnie odmiennym. Z tego faktu wypływają pewne konsekwencje.

Mieszkańcy Warszawy żyją już w zasadzie w nowoczesnych mieszkaniach, wyposażonych w bieżącą wodę, gaz, centralne ogrzewanie i łazienki. Mają oni do dyspozycji mnóstwo kin, teatrów i innych placówek kulturalnych i rozrywkowych. A jak żyją pracujący razem z nimi w setkach fabryk i instytucji mieszkańcy Wołomina, Radzmina, Marek czy Pustelnika?

W całym powiecie wołomińskim istnieje tylko trzy i pół kilometra sieci wodociągowej. Katastrofalnie również przedstawia się

problem kanalizacji. W ubiegłym roku rozpoczęto w Wołominie budowę pierwszego w powiecie systemu kanalizacyjnego. Sporządzenie samej dokumentacji technicznej kosztowało ponad milion złotych. Na rozpoczęcie inwestycji Prezydium Powiatowej Rady Narodowej otrzymało ok. 2.500 tys. złotych. Niestety, w bieżącym roku trzeba już roboty przerwać. Nie uzyskano bowiem dalszych kredytów. Tegoroczne potrzeby w tym zakresie szacuje się na sumę 5.120 tys. zł. Nie ma więc innej rady i trzeba wrócić do średniowiecznego sposobu rozwiązywania niezwykle ważnej kwestii sanitarnej: do budowy lokalnych szamb. A jest to w ostatecznym rezultacie bardziej kosztowne od systemu kanalizacyjnego. W dodatku szamba skażają wodę do picia. Brak kanalizacji wpływa także hamująco na rozwój zakładów przemysłowych.

Gdyby w Warszawie pojawiła się wylęgarnia chorób, to natychmiast ruszyłaby la-

ZA ROGATKAMI WARSZAWY

MATECZNIK

ZŁA

wina interwencji i zlikwidowano by zło. A w Wołominie? W Wołominie wody powierzchniowe odprowadzane są z miasteczka otwartymi rowami melioracyjnymi. Rowy te są zanieczyszczone i rozsiewają wokół obrzydliwy odór. Podczas większych deszczów brudny ściekowy zalewają ulice. Rada Narodowa od lat prowadzi zaciekle boje o przydział kredytów na oczyszczenie i naprawę tego nieszczęsnego systemu melioracyjnego w mieście. W bieżącym roku potrzeba na ten cel co najmniej 600 tys. złotych. W innych miasteczkach powiatu problem urządzeń komunalnych i sanitarnych przedstawia się jeszcze gorzej.

Nie można więc się dziwić, że mieszkańcy miasteczka powiatu wołomińskiego traktują swoje rodzinne strony jak miejsce zesłania i poządlivym wzrokiem spoglądają na pobliską Warszawę, gdzie ludzie żyją zupełnie inaczej. Powiatowa Rada Narodowa w ramach swych możliwości dokonuje maksymalnych wysiłków, by poprawić warunki bytu na podległym jej terenie. Ale możliwości te są małe. Jak np. przekonać istniejące tu zakłady pracy o potrzebie budowy z własnych funduszy mieszkań dla pracowników? W całym powiecie tylko Huta Szkła im Paplińskiego w Wołominie wznosi dom mieszkalny o 47 izbach. Rady narodowe wybudują w tym powiecie w latach 1965—1966 873 izby, a spółdzielnie mieszkaniowe 2.236 izb. Pewną ilość domków wzniosą także mieszkańcy z własnych funduszy. Ale to tylko w minimalnym stopniu zaspokoi głód mieszkaniowy. W powiecie wołomińskim istnieje ok. 61 tys. budynków. Z tego 70 proc. to budynki drewniane, kryte słomą i papą. Ile lat trzeba czekać przy dotychczasowym tempie budownictwa na unowocześnienie warunków mieszkaniowych wszystkich mieszkańców powiatu?

Nie trzeba zapominać, że małe miasteczka i wioski, a szczególnie podwarszawskie, nie są już jednostkami administracyjnymi od-

ciętymi od świata współczesnej cywilizacji. Nad słomianymi strzechami pojawiły się anteny telewizorów. Radio posiada każda niemal rodzina. Pojęcia nowoczesności setkami dróg wtargnęły do umysłów mieszkańców wiosek i miasteczek. Ludzie starzy są bardziej konserwatywni i przyzwyczajeni do dotychczasowego życia. Ale młodzież zaczyna się dusić w tych prymitywnych warunkach. Marzy o tym, by wyrwać się do wielkiego miasta, do wygody, do dobrodziejstw bytowych cywilizacji. Niestety, pobliska Warszawa może przyjąć na stałe tylko jednostki. W „odtraconych” budzi się rozczarowanie, gorycz i zniechęcenie. Ci, którym udało się zdobyć wyższe wykształcenie i wysokie kwalifikacje zawodowe rozpierzchają się po innych dużych miastach. Do rodzinnych pieleszy z reguły nie wracają. Ci, którzy muszą wrócić, chociażby na noc, szukają ukojenia w kieliszku, wyladowują swój żal w rozróbkach chuligańskich. A stąd już tylko jeden krok do poważniejszych wykroczeń przeciwko prawu i moralności.

Upośledzenie podstołeczne powiatu w porównaniu z Warszawą odczuwa się na każdym kroku. Mieszkańcy Wołomina nawet po warzywa, owoce, nabiał, mięso i pieczywo muszą jeździć do stolicy, bo na miejscu nie dla wszystkich starcza produktów *Alkoholu, oczywiście nie brakuje*. W 1964 r. mieszkańcy powiatu zakupili na miejscu 62 490 litrów samych tylko wódek czystych. A przeciętnie piją oni także trunki gatunkowe i wina. Co najmniej drugie tyle alkoholu kupili oni w Warszawie, gdzie wielu z nich pracuje. Jednostki szlachetne doprowadziły do tego, że na bufecie kolejowym w Wołominie wywieszono napis: „Po godzinie 16 piwa nie sprzedaje się.” Widocznie wołominianie wracają po pracy z Warszawy w stanie dalekim od trzeźwości. Ale wątpliwe jest, czy taki zakaz sprzedawania „utrwalacza” wpłynie skutecznie na zwalczanie pijaństwa.

Powiatowa Rada Narodowa w Wołominie, działacze społeczni w wioskach i miasteczkach dokonują nieraz nadludzkich w tych warunkach wysiłków, by zniwelować w jakimś stopniu zacofanie cywilizacyjne podwarszawskiego powiatu. Systematycznie zbiera się i obraduje nad poprawą sytuacji komisja kultury i oświaty Powiatowej Rady Narodowej. Robią co mogą koła ZMW i ZMS oraz ochotnicze straże pożarne. Uruchomiono już w powiecie 11 świetlic finansowanych z budżetów rad narodowych i 18 świetlic społecznych. PZGS założył 10 klubo-kawiarni, a „RUCH” 19 klubów książki i prasy. Przy 10 szkołach powstały ogniska działalności kulturalnej. Działają 3 biblioteki miejskie i 4 osiedlowe z trzema filiami oraz 20 bibliotek gromadzkich. W Wołominie w ub. roku uruchomiono nowe kino. W Radzyminie dzięki inicjatywie działaczy społecznych zagospodarowano dla celów kulturalnych miejscowy Dom Ludowy, w którym istnieje teraz kino, biblioteka, klub książki i prasy oraz społeczne ognisko muzyczne. Zorganizowano 82 zespoły artystyczne. Ostatnio powstała w Wołominie powiatowa poradnia kulturalno-oświatowa.

To wszystko jednak nie uzdrowi sytuacji, dopóki istnieć będą rażące dysproporcje cywilizacyjne między sąsiadującymi ze sobą rejonami. Niedawno na najwyższych szczeblach władzy państwowej zapadły uchwały o deglomeracji przemysłu warszawskiego. To jest właśnie wielka szansa rozwojowa dla podstołecznych miejscowości. Rozwój przemysłu, czyli rozwój bazy ekonomicznej w dużym stopniu automatycznie pociąga za sobą rozwój gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, a także rozwój kultury i oświaty. A gdy człowiek żyje wygodnie, dostatnio i kulturalnie, gdy nie potrzebuje zazdrości innym lepszemu losu, wtedy i pokusa nieprawości ma utrudniony dostęp do niego.

JERZY ALEKSANDER



MIGAWKI Z BUDAPESZTU



Już czwarty raz znalazłem się w Budapeszcie. Wsiadłem z pociągu „Orient-Éxpres” na budapeszteńskim dworcu „Keleti pályaudvar”. Było akurat pierwszomajowe święto. Kwitły drzewa i kwiaty; nie tak jak u nas deszcz i zimno. Klimat na Węgrzech jest umiarkowany, a pasmo Karpat zatrzymuje chłodne wyże i niżej gnane wiatrami z północy. Postanowiłem zwiedzać to, czego jeszcze za poprzednim razem nie udało mi się poznać. A jest co oglądać. Wojna nie zniszczyła miasta, a dziesiątki zabytkowych budowli pokrytych patyną wieków urzeka turystów. Nie na darmo też Budapeszt uchodzi za jedno z najpiękniejszych miast Europy. Dunaj przedziela je szeroką wstęgą na dwie części, starą Budę i nowszy Peszt.

Idąc od dworca Keleti ulicą Rakoczego wchodzimy na most Elżbiety wyremontowany i oddany do użytku w ubiegłym roku. I oto Dunaj (zdz. 1) rozlany szeroko, przecięty kilkoma mostami. Na przeciwnym brzegu Buda, położona na niewysokich Górach Budapeszteńskich, nad którą wysoko wzno-

si się Góra Gellerta. A dalej zamek. (zdz. 2) Na Górze Zamkowej stara dzielnica, domy, zaułki, gotycka katedra, baszta Rybacka z XIX w., krużganki i pomniki (zdz. 3). Na peryferiach Aquincum fragmenty osady z czasów rzymskich i muzeum. Z krużganków baszty, wspaniały widok na miasto, na dzielnicę Peszt z okazałym gmachem parlamentu w stylu neogotyckim (zdz. 4, 5 i 6). Parlament nad starym brzegiem Dunaju, po którym krążą statki pełne pasażerów. Na pokładach gra muzyka, kelnerzy roznoszą wina, lody i kawę. Po obu stronach rzeki przystanie i bulwary (zdz. 7). Z każdej przystani można wsiąść na statek, który zawiezie nas na pełną kwiatów i zieleni Wyspę Margarety. Tu mieszkańcy Budapesztu zażywają odpoczynku, korzystają z basenu kąpielowego i licznych kawiarni. Inni mogą posłuchać koncertów muzyki wojskowej na licznych skwerach u stóp pomników. Pomnik Kossutha (zdz. 8).

Tekst i zdjęcia: JANUSZ CHODAK



BALLADA CHOPINOWSKA

Ledwie dotkniesz klawiszy, a już z twoich dłoni
wypływa ciepło słońca i wód migotanie.
Stary zamek wyrasta w uroczym ustroniu,
widzę piękną Goplanę, podziwiam jej taniec.

Wchodzę w krainę dziwów polskiego omrocza,
słyszę dźwięki kurantów i szepty i szluchy.
Czasem widmo ogniste bez głowy się toczy,
albo dłonie unoszą zakute w kajdany.

Ballada o miłości, rozpacz i zgonie
szumi smutkiem wierzbowym, czerwienią i bielą.
Słoneczny ślad Goplany rozplywa się, tonie.
Znika widmo bez głowy
i milkną anieli.

WITOLD NANOWSKI



KAPŁAŃSTWO

c.d. ze str. 1



Sakramentu Kapłaństwa może udzielić tylko biskup, a Sakrament ten wyciska na duszy przyjmującego niezatarty charakter, wskutek czego, kto raz zostanie wyświęcony na kapłana, na zawsze nim pozostaje.

Pojęcie kapłaństwa właściwe jest niemal wszystkim religiom. U ludów dawnych funkcję kapłanów spełniali przywódcy szczepowi, a władza królewska niejednokrotnie połączona była z władzą kapłańską.

Człowiek naszych czasów potrzebuje świątłych kapłanów. Od nich oczekuje czynów żywych, świadectwa na co dzień tego co głosz, nie zaś sloganów, chociażby były najbardziej chwytliwe, lub frazesów.

Kapłaństwo poprzedzają święcenia niższe i wyższe. Do przyjęcia kapłaństwa konieczne są warunki: powołanie, odpowiednie przygotowanie czyli wykształcenie i święcenia, udzielone przez biskupa posiadającego sukcesję apostolską. Ks. Biskup Dr M. Rode, Prymas Kościoła Polskokatolickiego, który wyświęcił już 60 kapłanów posiada sukcesję apostolską bez żadnych wątpliwości. Przed 6 laty przyjął sakrę biskupią w starej Katedrze pw. „Św. Gertrudy” w Utrechcie (Holandia) z rąk biskupów starokatolickich.

Kościół Polskokatolicki kształci swoich przyszłych duszpasterzy na Sekcji Starokatolickiej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej i w Wyższym Seminarium Duchownym (ChAT) mieści się w Chylicach k.W-wy, ul. Długa 43, WSD w W-wie, ul. Szwoleżerów 4).

Najistotniejszą władzą kapłańską jest władza konsekrowania czyli przeistaczania chleba i wina w Ciało i Krew Pana.

Szafarzem święceń kapłańskich jest tylko biskup, a znakiem przez który udziela się kapłaństwa (także i biskupstwa) jest włożenie rąk. Władza kapłańska pochodzi od Chrystusa nieprzerwanie poprzez Apostołów i biskupów. Święceń niższych mogą udzielać również kapłani (szczególnie piastujący wyższą godność) za specjalnym zezwoleniem biskupa. Kapłan jest ojcem duchownym dla wiernych. Godność urzędu wkłada na niego wielką odpowiedzialność. Kandydat do stanu duchownego w Kościele Polskokatolickim musi zdawać sobie sprawę z tego, że czeka go praca trudna, orka na ugorze, a nawet może szykany. I jednocześnie musi ugruntować w sobie przeświadczenie, że służy Chrystusowi.

Dn. 19 czerwca br. Ks. Biskup Dr Maksymilian Rode udzielił święceń kapłańskich następującym 14 diakonom: Wiesławowi Cereniewiczowi, Waclawowi Cwiecie. Bolesławowi Ewertowskiemu, Robertowi Fituchowi, Marianowi Kowalczykowi, Stefanowi Muchlado, Andrzejowi Nadskakulskiemu, Zygmunutowi Piekutowskiemu, Zbigniewowi Pióro, Mieczysławowi Polakowi, Kazimierzowi Sochalowi, Kazimierzowi Soborce, Januszowi Tyszkiewiczowi, Kazimierzowi Walaskowi.

W uroczystościach wzięli udział księża z Warszawy i z terenu: Bałicki, Bałakier, Buszka, Gabrysz, Gorgol, Gotówka, Górecki, Jankowski, Maćkowiak, Małuszyński, Muchewicz, Olejnik, Sobczyk, Tadla, Telejko, Włodarski.

W uroczystościach wzięł również udział rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej — ks. prof. dr Wiktor Niemczyk.

Podczas uroczystości do przyjmujących święcenia przemówił Ks. Biskup Prymas Rode. Cieszył się, że tak liczna grupa diakonów przyjmuje święcenia kapłańskie. Podkreślił jednakże, że kto nie czuje się na siłach, aby przyjąć święcenia, niech się wycofa. Ks. Biskup złożył życzenia na nową drogę życia. Słowa płynęły z serca i głęboko

c.d. str 8



3

dokończenie ze str. 7

1. W dniu 19 czerwca br. Ks. Biskup Dr Maksymilian Rode, Prymas Kościoła Polskokatolickiego udzielił święceń kapłańskich 14 diakonom. Na zdjęciu Ks. Biskup Prymas przemawia do mających przyjąć święcenia i wiernych zebranych w Archikatedrze.

2. Ks. Biskup i kapłani odmawiają Litanię do Wszystkich Świętych, a diakoni, którzy mają otrzymać kapłaństwo leżą krzyżem.

3—4. Fragmenty udzielania święceń.

5. Po uroczystościach wspólne zdjęcie nowo święconych z Ks. Biskupem, księżmi profesorami, braćmi-kapłanami.

6. Podczas przyjęcia w Wyższym Seminarium Duchownym m. in. przemawiał ks. kan. dr Szczepan Włodarski.

Fot. KAZIMIERZ BAŁAKIER

zapadały w dusze nowo święconych kapłanów. Rodzice i rodzeństwo neoprezbiterów byli wzruszeni. Ks. Biskup zwrócił m. in. uwagę na to, że kapłaństwo nie jest rzemiosłem. Wzniosły jest zawód budowniczego, który wznosi gmachy, wzniosły zawód lekarza, który spieszy z pomocą chorym, ale kapłan jest lekarzem duszy. Kapłaństwo to nie rzemiosło, to powołanie.

Drugi raz ciepło przemawiał Ks. Biskup Rode podczas przyjęcia w Wyższym Seminarium Duchownym, wręczając dyplomy święceń i nominacje. Przemawiali również księża kanonicy: ks. dr Szczepan Włodarski i ks. dr Edward Bałakier.

Ks. kan. Włodarski mówił o znaczeniu polskiej liturgii. W języku ojczystym można zrozumieć jej piękno. Mówił, że ceremonie Sakramentu Kapłaństwa są przebogale w treść i zwrócił uwagę na 2 momenty, na słowa: „Już nie nazwę was sługami, ale przyjaciółmi moimi, bowiem poznaliście wszystko”, z drugiej strony zwrócił uwagę na słowa przy wkładaniu stopy: „Przyjmij jarzmo Pańskie”. Jednym z ciężarów tego jarzma to posłuszeństwo: Każdy z neoprezbiterów przyrzeka biskupowi i jego następcom cześć i posłuszeństwo. Powinien dochować tego posłuszeństwa, a jeśli ma jakieś trudności, powinien udać się z nimi do tych, którzy stali się jego przyjaciółmi — do biskupa, profesorów, współbraci-kapłanów.

Ks. kan. Bałakier przemawiał w imieniu rektora WSD. Życzył nowo wyświęconym pogody ducha, mówił o świetlanej postaci Ks. Biskupa Hodura, o biskupach godnych pochwały: Ks. Bp. Bończaku, s.p. Ks. Bp. Padewskim. Ks. Bałakier podkreślił zasługi Ks. Biskupa Rodego, zaliczając Ks. Biskupa Prymasa do wybitnych i najbardziej zasłużonych postaci w Kościele. W imieniu neoprezbiterów przemawiali dziękując za święcenia i troskliwą opiekę księża: Kazimierz Walasek (z ChAT) i Mieczysław Polak (z WSD).

Nowych 14 duszpasterzy to dowód rozwoju Kościoła Polskokatolickiego. I — jak Ks. Biskup Prymas Rode zwrócił uwagę w swoim przemówieniu — Kościół Polskokatolicki wysunął się na trzecie miejsce w Polsce, po Kościołach: Rzymskokatolickim i Prawosławnym,



Dzień 19 czerwca był dniem radości i jako taki przeszedł do naszej historii. Dumny może być KSIĄDZ BISKUP PRYMAS RODE, że dzięki swojej inicjatywie, dzięki pracy podniósł Kościół, rozwinął, uporządkował, że może patrzeć na zastęp kapłanów przez siebie wyświęconych (ponad sześćdziesięciu). Dumni możemy być my kapłani tego Kościoła, dumni wreszcie mogą być wierni i sympatycy Kościoła Polskokatolickiego, który stale rozwija się.

Dumni mogą być rektorzy Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej i Wyższego Seminarium Duchownego, ks. prof. dr Wiktor Niemczyk i ks. inf. mgr Józef Gabrysz, że pod ich kierunkiem zastęp młodych studentów zdobywał wiedzę. Dumni mogą być profesorowie tych uczelni, którzy przez lata wykuwali charaktery przyszłych duszpasterzy. Nowym sługom Winnicy Pańskiej „Szczęść Boże”.

Ks. mgr TADEUSZ GORGOI

KAPŁAŃSTWO



CO STOI NA PRZESZKODZIE NA DRODZE DO NASZEGO KOŚCIOŁA?

Miesięcznik „Posłannictwo” opublikował artykuł Ks. dra S. Włodarskiego pt. „Istota i historyczny zarząz ruchu starokatolickiego”. Wielka szkoda, że artykuł ten nie dotarł do rąk każdego Polaka wierzącego, ponieważ bardzo wielu ludzi po dzień dzisiejszy nie ma pojęcia o naszym Kościele i starokatolicyzmie w ogóle. Dlatego też na czasie będzie postawienie pytania, co staje dziś na drodze jako przeszkoda do Kościoła Polskokatolickiego?

Zastanawiając się nad tym pytaniem, musimy stwierdzić, że jest to zagadnienie wielostronne. Niewątpliwie, wiele do powiedzenia w tej dziedzinie ma ignorancja religijna. Sprawdza się tutaj psychologiczno-etyczna zasada: żeby móc czegoś pragnąć, trzeba to uprzednio poznać. Żaden z naszych dziadów i pradziadów nie mógł w swoim czasie pragnąć posiadania np. oświetlenia elektrycznego czy innych urządzeń technicznych, jakimi dysponujemy dziś, z tej prostej racji, że nie znał ani samych tego rodzaju urządzeń ani dobrodziejstw płynących z posiadania ich. Podobnie wygląda rzecz w dziedzinie wyznaniowej. Jeśli się nie zna pozytywnych cech naszego Kościoła, jeśli nie albo niewiele się wie o jego walorach dogmatycznych, moralnych i liturgicznych, wtedy człowiekowi nie przyjdzie nawet myśl, aby udać się do polskiej świątyni i zobaczyć, co tam się dzieje. Nic do uczynienia takiego kroku nie będzie pociągać, bo i jak może pociągać. Do tego trzeba dodać jeszcze jedno zjawisko, typowe dla naszego narodu. Zjawiskiem tym jest historyczny fakt, że w Polsce na przestrzeni dziejów nigdy nie doszło do poważniejszego rozwoju innych wyznań poza rzymskim. Naturalnie, nie było to zastęga Kościoła Rzymskokatolickiego, ale o tym niżej. W każdym razie przewaga jednego wyznania i specyficzna psychika narodu uśpiła umysły ludzkie. Jednym słowem, prawie wszyscy owczym pędem w jednym kierunku, bez zadania sobie trudu myślenia i zastanawiania się, czy obrana droga była słuszną czy nie. Rezultatem takiej psycho-religijnej postawy jest dzisiejsza ignorancja i inercja religijna. Ot, przestaliśmy się tą dziedziną interesować w sensie głębszych dociekań i szukania prawdy, wystarczy nam wierzyć tak, jak wierzyli ojcowie nasi, i dlatego nic dziwnego, że poziom naszej wiedzy religijnej nie jest większy od poziomu naszych pradziadów pomimo olbrzymiego postępu wiedzy XX wieku.

Obok ignorancji jest jeszcze inna przeszkoda na drodze do naszego Kościoła. Wspomniałem już o tym, że w naszym kraju nie rozwinęły się powszechnie inne wyznania tak, jak to na przykład stało się w

Niemczech, gdzie w bardzo wielu miejscowościach Kościół Rzymski nie cieszył się wielkim powodzeniem. Między innymi zjawisko to daje się wytłumaczyć narodowym temperamentem Polaków. Słusznym będzie stwierdzenie, które aktualne jest i dziś, że wiele uwagi zwracamy na przeżycia uczuciowe. Mówiąc innymi słowami, lubimy wyszumieć się w masowych zebraniach, procesjach czy pielgrzymkach. Uważamy natomiast za niewłaściwą dla siebie funkcję myślenie i konsekwentne postępowanie wg założeń i przepisów religijnych. A tymczasem wstąpienie w szeregi naszego Kościoła wymaga nie tylko zmiany poglądów na życie kościelne, lecz również wewnętrznej przebudowy. Przekładając to na ludzki język można powiedzieć, że lepszy jest jeden praktykujący jakkolwiek wyznawca niż dziesięciu bezmyślnych, obojętnych katolików wyznania rzymskiego. Gdy do tego dodamy siłę przyzwyczajenia czyli tradycję religijną, otrzymamy wtedy bardzo wymowny obraz religijnej psychiki naszych czasów.

W tym miejscu rozważania można uczynić krok dalej. Jeśli mamy więc do czynienia z ludźmi, którzy praktykują w Kościele Rzymskokatolickim, ale praktykują nie z przekonania, lecz na mocy przyzwyczajenia i z obawy przed wszystkim wiążącą opinią ludzką, to nie można się po nich spodziewać przejścia do Kościoła Polskokatolickiego. Bo właśnie w imię czego mieliby uczynić taki krok? W myśleniu tych ludzi brak czegoś, co można nazwać odpowiednią dyspozycją czyli przygotowaniem do ewolucji poglądów religijnych. Faktycznie, jakże może dojść do tego rodzaju ewolucji, skoro niewiele wzgl. nic nie wiedzą o Kościele bliższym prawdzie Chrystusowej?! Jeśli zaś coś wiedzą, to są przeważnie źle poinformowani. Po drugie, w jaki sposób mają ci ludzie przezwyciężyć wewnętrzny impas, który nie pozwala im zająć aktywnego stanowiska w sprawach wyznaniowych? W tym wypadku potrzebny jest wewnętrzny zryw, duchowe odrodzenie się.

To, co dotąd powiedzieliśmy, ma charakter wewnętrznych, psychicznych przeszkód. Obok tych istnieją też przeszkody zewnętrzne. Żeby nie było niedopowiedzeń, trzeba zaznaczyć, że Kościół Rzymski chętnie tłumaczy swoje niepowodzenia rzekomym „prześladowaniem” ze strony Państwa. Nam takie „prześladowanie” wydaje się śmieszne, bo każdy obywatel ma zapewnioną wolność sumienia i tą wolnością może się cieszyć, praktykując w dowolnym wyznaniu. Jeśli mówimy o trudnościach zewnętrznych, to mamy zupełnie co innego na myśli. W dobie obecnej ludzie zdążyli już przyzwyczać się do korzystania z wielu wygod postępu

technicznego. W wielu wypadkach dziś nie ma potrzeby chodzić pieszo, a tymczasem do kościoła trzeba iść właśnie pieszo, ponieważ po dzień dzisiejszy nie ma tam żadnego dojazdu. Nie każda parafia przecież znajduje się w dużym mieście, a odległości pozostały jednak te same. Biorąc pod uwagę różny wiek wyznawców, trzeba się liczyć z tego rodzaju trudnością mającą wpływ na frekwencję. Nie zawsze możemy sobie pozwolić na ogrzewanie kościoła zimą, a tymczasem świątynie nasze są zimne. Największą trudnością będzie chyba brak dostatecznej ilości świątyni tam, gdzie są zwolennicy naszego Kościoła, a chociaż byłaby w danej okolicy świątynia, to utrzymanie świątyni, parafii i duszpasterza związane jest z pewnymi kosztami. Kościół nasz nie należy do bogatych wyznań. Słuszne zaś oddziaływanie naszych wyznawców na innych ludzi nie może dokonać się nagle. Do tego potrzeba wielu lat znoej pracy księży i wiernych. Nie należy również zapominać o wzmożonym tempie współczesnego życia. Zapracowanie i zaabsorbowanie wieloma sprawami codziennego życia nie pozwala zająć się zagadnieniami religijnymi. Kto wie, czy tu właśnie nie należy szukać przyczyn zubożenia i postępowania tradycyjnego wbrew wszelkiej logice. Systematyczne podnoszenie się stopy życiowej, czego jesteśmy świadkami w naszym kraju, ma to do siebie, że zwiększa potrzeby życiowe, a te z kolei pociągają za sobą zwiększenie się ilości zajęć po godzinach pracy. Są to naturalnie dobrowolne zajęcia, ale niemniej absorbujące uwagę człowieka.

Tak więc bez większego trudu uwidoczniliśmy szereg przeszkód, na jakie ludzie napotykać na drodze do naszego Kościoła. Nie można powiedzieć, że tym samym wyczerpaliśmy wszystkie. Dla pewnej całości można jeszcze wspomnieć o wroguj nam agitacji duchowieństwa rzymskiego. Ratując zagrożone i mocno zachwiane swoje pozycje, błędnie informują, co więcej, wrogą nastawiają ludzi do nas, wmawiając im niedorzeczne pojęcie o naszym Kościele. Pomimo szkodliwości takiej działalności, nie jest ona jednak aż tak groźna, żeby z tego powodu tracić głowę. Naszym zadaniem jest zainteresować ludzi Kościołem Polskim i wyrabiać w ich umysłach właściwe pojęcia z tego zakresu. Do pokonania wspomnianych trudności potrzeba wysiłku nie tylko księdza, duszpasterza, lecz wszystkich wiernych naszego Kościoła. Potrzeba tu zbiorowego wysiłku, który będzie się objawiał należyta moralno-społeczna postawą każdego wiernego. Jeśli będę sumiennym obywatelem i gorliwym wyznawcą, wtedy nie będę miał potrzeby kryć się ze swymi religijnymi przekonaniami. Wtedy i wroga nam działalność pewnych ośrodków wyznaniowych czyli religijnych okaże się bezskuteczna, bo w jedności jesteśmy silni, chociaż tu i ówdzie nieliczni.

Ks. KAZIMIERZ PIKULSKI

D N O (opowiadanie)

— Nie pomyliłeś drogi? Wiesz gdzie to jest — półseptem wyrzucił z siebie Władek. W kieszeni namacał palcami języczek spustowy pistoletu. Odbezpieczył...

Zdobycie pistoletu — od tego zaczęła się cała historia. Wieczoram! włóczęg się po ulicach miasta i knajpach, spostrzegł milicjanta. Poszli za nim. W uliczce wąskiej i ciemnej ogłuszył go łomem. Upadł. Władek pierwszy wyrwał pistolet. — No, teraz co innego. Kiedy przed dwoma laty Władek P. był alummem rzymskiego seminarium w Płocku, mechanicznie naśladował sztuczną pobożność i ascezę widział jak wzniosła teoria często się mija z ziemską praktyką rzymskiego

duchowieństwa, związaną z kuitem pieniądza intrygami, zakłamaniami.

Już wtedy nawiedzały go marzenia o życiu wygodnym, sytym i fortunie zdobytej przemocą choćby wbrew wszelkim kanonom. Wyjechał z Płocka. Rysiek — kolega z pracy chwalił się, że zna dobrze taką jedną wieś, gdzie można się obłowić.

Sklepowa — młode, szczupłe dziewczę z dużym kokiem akurat zamierzała przyczepić do drzwi pod starym, wyblakłym szyldem wywieszkę: przerwa obiada, gdy weszli oni. Poprosili o paczkę „Sportów” i zapałki. Sięgnęła na półkę i wówczas zmroziło jej krew w żyłach ostre wezwanie — Pani odda pieniądze, bo inaczej... Poczuli na sobie chłód stalowej lufy. Przejmujący dreszcz przebiegł ją całą. Z ręki wydarli jej kasetkę, zagarnęli banknoty i bilon do kieszeni.

Przez okno spostrzegła jak obaj skuleni puścili się pędem. Natychmiast zaalarmowała

telefonicznie o napadzie posterunek MO odległy o kilka kilometrów i pobliskich sąsiadów. Wybiegli, na ulicę, rozsypali się po opłotkach, ale już po bandytach nie było śladu.

Obaj porzucili robotę w kopalni, wymeldowali się z hotelu robotniczego i dla zatarcia śladów pojechali w zupełnie nowe okolice.

W przedziale wagonu oprócz nich nie było nikogo. Władek niespokojnym okiem przeczekał gazetę; może rozpisali listy gończe? Z teczki dobył pół litra wyborowej. Dłonią wybił korek. Pij — wyciągnął butelkę do Ryska. Na lepszą dolę. Rysiek zakrztusił się, rękawem otarł usta: — Władek, znaczy się robimy nowy „skok”. Milcz!

— E, co ci zależy „seminarzysto” — roztępił i tak się nas wyrzekli jako wyrzutków, a my mamy już za sobą „robotę”. Forsa zaś nigdy piechotą nie chodzi — próbował go

W WATYKANIE — PECUNIA NON OLET

Zmarły w 1958 roku papież Pius XII był nie tylko znanym germanofilem, w otoczeniu którego funkcjonowali jako bezpośredni doradcy dwaj jezuita narodowości niemieckiej, ojcowie Hentrich i Leiber, którzy wraz z zakonnicą — siostrą Pasqualiną — oddziaływali na Piusa w sposób bezceremonialny, wprowadzając w stan zakłopotania kardynałów włoskich innych narodowości. Papież znany był z nepotyzmu, jaki uprawiał przez całe życie. Pius XII dbał wielce o swych trzech bratanków. Podniósł ich do godności księżęcej, ale „książęta” Pacelli: Carlo, Giulio i Marcantonio nie mogli, mimo pokrewieństwa z papieżem, przekroczyć progów rodowej arystokracji włoskiej, która Pacellich traktowała jako dorobkiewiczów, czerpiących swe dochody z nie zawsze uczciwych transakcji.

Bratankowie Piusa XII uplasowali się w Watykanie na nader wygodnych pozycjach. Stali się ni mniej ni więcej tylko maklerami giełdowymi Watykanu. Po prostu grali na giełdzie w Rzymie, Zurychu, Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. No cóż, na Zachodzie giełdy są dostępne każdemu. Dla czego „książęta” watykańscy mieliby mieć zabronione przekraczanie progów giełd, tych świętyń Merkurego? Ale cała rzecz w tym, że trójka braci Pacellich obracała pieniędzmi watykańskimi. Grali na giełdzie i wygrywali. Wygrywali krocie, miliony, miliardy lirów. Część tych zysków zabierali sobie. A mieli ku temu wiele sposobności i wiele okazji. Bratankowie papieża zasiadali w niezliczonej ilości rad nadzorczych w charakterze członków, wiceprezesów, prezesów mnóstwa prywatnych i państwowych kolosów przemysłowych i finansowych.

W swej zachłanności jeden z braci Pacellich, Giulio, pewnego dnia przestał płacić podatki rządowi włoskiemu. Dorobił do tego szczególne uzasadnienie. Giulio Pacelli został mianowany ambasadorem przy Watykanie przez rząd południowoamerykańskiej republiki Kostaryka, kraju zamieszkanego przez 900 tys. Kreoli, Metyśów i Murzynów. Jako przedstawiciel tego niewielkiego kraju Giulio niewiele miał do roboty w charakterze ambasadora Kostaryki. Bogato szamerowany złotem frak ambasadorski potrzebny mu był jako parawan, poza którym ukrył się adwokat Giulio Pacelli i w jednej osobie ambasador kraju, którego nigdy na oczy nie widział. Giulio prowadził w Rzymie kancelarię adwokacką, w której skupiało się gros spraw finansjery włoskiej oraz zgromadzone były sprawy obu braci obrotowego adwokata. Giulio z tytułu swych zarobków adwokackich

nie zapłacił ani centa podatków rządowi włoskiemu, który rejestrował olbrzymie zaległości podatkowe bratanka papieża. Ale Giulio Pacelli znalazł popleczników w Kurii Rzymskiej. Przez sześć lat dusili purpuraci rzymscy rząd włoski, aby zwolnił od wymiaru podatkowego „ambasadora” Kostaryki. Chadecki minister finansów Adreotti w zamian za mgliste obietnice kategorii mistycznej — uległ i podatki umorzył. Z tego powodu, kiedy papież Pius XII umarł powstała wielka wrzawa w Rzymie, która po pewnym czasie ucichła. Ale we włoskiej opinii publicznej nie zapomniano, że papiescy nepoci tak bezceremonialnie wyzyskiwali skarb włoski.

Przy każdej okazji przypomina się afery finansowe braci Pacellich, dzisiaj najbogatszych ludzi we Włoszech. Ale oto wybuchła nowa afera. Afera związana bezpośrednio z polityką finansową Watykanu. Na czym ona polega?

Dowiedzieliśmy się ze statystyk oficjalnych, że jedna piąta akcji będących w obiegu we Włoszech jest w posiadaniu Watykanu. Są to akcje domów towarowych, wielkich spółek akcyjnych, przemysłu elektryfikacyjnego, metalurgicznego. Watykan dysponuje pokaznym pakietem akcji przemysłu chemicznego, nie gardzi akcjami przedsiębiorstw lotniczych, transportu morskiego i ...zbrojeniowego. Ta skłonność do gromadzenia wszelkiego rodzaju akcji wynika z zasady: pecunia non olet (pieniądz nie śmierdzi). Przedsiębiorstwo pocztowe Państwa Watykańskiego znane jest na całym świecie, zwłaszcza wśród filatelistów, jako bardzo obrotowy wydawca barwnych, w niewielkich nakładach wypuszczanych znaczków pocztowych, które nazajutrz po wyjściu spod prasy uzyskują zawrotne ceny w środowisku zbieraczy znaczków pocztowych. I to stanowi pokaźne źródło watykańskich dochodów, czerpanych za pośrednictwem specjalnego Biura Filatelistycznego.

Włoskie prawo skarbowe przewiduje, że obywatele włoscy, jak również obywatele państw zagranicznych powinni płacić podatek od posiadanych akcji. Prawo to obowiązuje wszystkich. Ale purpuraci rzymscy uznali, że znajdują się ponad prawem. Podobnie, jak „ambasador” Pacelli odmówili zapłacenia zaległych podatków. A suma należności watykańskich wobec skarbu Republiki jest niebagatelna. Chodzi o 40 miliardów lirów, które powinien zapłacić Watykan od posiadanych udziałów w różnego typu przedsiębiorstwach.

Z twardym uporem Watykan wstrzymuje się od zapłaty podatków. Grozi rządowi re-

publikańskiemu, że jeśli będzie domagał się zapłaty zaległości — to raczej sprzeda posiadane akcje w ręce zagranicznych bankierów. Mówiąc to Watykan miał na myśli akcje włoskich przedsiębiorstw, które w wypadku spełnienia groźby przedstawicieli Kurii Rzymskiej — przeszłyby w ręce kapitału zagranicznego.

Egoizm Watykanu przechodzi w tym wypadku w pospolity szantaż, podlegający odpowiednim przepisom kodeksu karnego.

A cóż na to rząd włoski?

Chrześcijańsko-demokratyczna partia watykańska, dysponująca w parlamencie poważnymi wpływami chce wyjść na spotkanie tej szantażowej inicjatywy Watykanu i przygotowuje tzw. „Ustawę nr 1475”, — w wyniku której Watykan ma być zwolniony od płacenia podatku od akcji.

Takie załatwienie sprawy wywołuje dużo złej krwi wśród Włochów, których boli nierówny stosunek do płatników podatku od akcji.

Na tle polityki finansowej Watykanu coraz głośniej mówi się o potrzebie rewizji tzw. „Układów Laterańskich”, zawartych w 1929 r. przez rząd włoski Mussoliniego, na mocy których uznana została suwerenność władzy papieża na terenie Watykanu (Citta del Vaticano). Ale Kuria Rzymska czyni wszystko, aby granice i ramy tej suwerenności rozszerzyć. Przykład: wspomniana sprawa z podatkiem od akcji oraz druga historia, głośna już dzisiaj na cały świat — to zakaz wystawienia w Rzymie sztuki Hochhutha pt. „Namiestnik”, która — trzeba to przyznać — jest atakiem na stanowisko papieża Piusa XII w sprawie żydowskiej w latach minioniej wojny. Zakaz rząd włoski wydał pod dyktando Watykanu. W fakcie tym włoska opinia postępową widzi, nie bezzasadnie, jaskrawy przykład zakładania kagańca na wolną, niezależną twórczość literacką. Posypały się protesty. Sztuka nie ujrzała wprawdzie światła dziennego na deskach koncesjonowanych scen teatralnych, ale jest wystawiana w warunkach kameralnych, w lokalach związków zawodowych i partii politycznych. Grają w niej zawodowi artyści włoskich scen dramatycznych. Tak więc kagańcowa inicjatywa Watykanu spaliła na panewce. „Namiestnika” oglądają Włosi na dziesiątkach scen robotniczych.

A. DINO

przekonywać Rysiek. To prawda, że dzieląc „dole” z tamtego napadu niewiele im pozostało po jednorazowej wizycie w knajpie, ale czy zawsze tak musi być? Rysiek, który już znał poprawczaki i siedział w więzieniu za kradzieże opowiadał o takich „urkach” co to kiedyś „skok” robili udane i żyli jak milionerzy. Ech, żeby tak nam...

Szturchnięciem łokcia obudził go Rysiek: — Wsiadka. Owiał ich zapach świeżych pokosów. Za drewnianą stacyjną budką zapalili papierosy i ruszyli miedzą przez pola.

Rysiek podzegał — Jak się uda, wiejemy do twego ojczulka na wioskę. Zrobimy ubaw z dziewczynami, że świat się uśmieje. — Stary jak się dowie, wyrzuci. — Głupi, powiesz żeś wpadł z kolegą na delegację s...żbową. A jak nie uwierzy? — Co ma nie uwierzyć? Fundniemy mu jaki upominek. — Może masz rację.

Dokuczał im upał. Weszli więc na piwo.

Cedzili wolno czekając, aż sklep opustoszeje. Przyjrzeni się uważnie sklepowej. Miała spocone dłonie. Na jej twarzy spostrzegli zmęczenie. — Panowie już wyjdą — rzuciła zza lady — przerwa obiadowa. — Jeszcze tylko dokończymy tę butelkę. — Dobrze. Sklep opustoszał. Rysiek znacząco mrugnął. Sklepowa odwracając się zdążyła tylko krzyknąć co pan... — Pieniądze i to zaraz. A jeżeli nie... przystawił pistolet do jej piersi. Cheiała krzyknąć na cały głos, wołać o pomoc. Zatkaną jej dłonią usta. Próbowała chwilę szamotać się. Ogłuszający cios trzonkiem pistoletu. Jęknęła. Po twarzy popłynęła krew. Wcisnęli pośpiesznie do kieszeni zwitek banknotów, trochę czekolady, papierosów... Ze sklepu przez pola wpadli do ogrodu. Przyczaili się. Sklepowa krzychała: — Ratunku, bandyci. Przed sklepem gromadzili się ludzie. Ktoś wskazał ręką w stronę ogrodu. Kilku chłopów biegło z kijami.

Bandyci zniknęli sprzed oczu w leśnej gęstwinie. — Dawaj „dole”. Masz — Władek cisnął pięćsetkę. A czekoladę, papierosy — co sobie myślisz? — Dostaniesz potem. Wiemy. Tym razem nie zdążyli. Z bronią w ręku i łupem bandyci zostali ujęci przez grupę pościgową MO. Sąd Wojewódzki w Katowicach mając na uwadze młody wiek, zaniedbanie wychowawcze w rodzinie i środowisku, skazał ich na wieloletnie kary więzienia, pozbawienie praw honorowych i obywatelskich.

Jeden z nich Władysław P. 10-ty rok siedzi w więzieniu i tak pisze o sobie: „Jakże bardzo tęsknię do wolności i rodziny teraz, gdy zrozumiałem, że moje postępowanie zasługuje na najwyższą pogardę i surową karę, gdy tyle cierpię...” Szkoda, że te słowa przyszły za późno.

Fr. OSZMIAŃSKI

Inter arma silent musae — to stare łacińskie powiedzenie, które w wolnym tłumaczeniu polskim brzmi: śród szczęku otęmu muzy milczą, nie miało absolutnie pokrycia w całym przebiegu Powstania Warszawskiego.

Rzeczywiście muzy nie milczały. Nie tylko, że nie milczały: krępowane więzami pięcioletniej okupacji, smagane biczem terroru i represji, przechodząc wartko i pracowicie „najniższą kondygnację” walki nieujarzmionego narodu — kondygnację konspiracyjnego podziemia, dały w tych historycznych dniach lata i jesieni 1944 r. pełny wyraz swej tęsknoty działania w warunkach nagle, spontanicznie zaistniałego światła dziennego jakim była eksplozja Powstania.

Pierwsza wyszła z przymusowego czyśćca konspiracji i ruszyła na spotkanie w bólach i trudach niecodziennych tragicznie zmartwychwstającej Ojczyzny — prasa.

Dziesiątki tytułów — już nie gazetek, biuletynów których kolportaż pochłoniął tyle patriotycznych istnień ludzkich — ale już jawnie drukowanych gazet nawiedziły po raz pierwszy od lat żądania prawdziwie duchowej strawy i karmioną blufem szczerkaczkę Warszawę powodzią informacji, artykułów, reportaży, aktualnych felietonów, poezji walki i cierpienia. W sukurs bojowy prasie przyszło radio powstańcze. Następnie w dalszej kolejności na ekrany wszedł film polski, chwytający in flagranti sceny w stolicy i najbardziej wizualny, najbardziej bezpośredni w oddziaływaniu środek — oręż apelów — przyczynów bojowych — plakat polski. Nieposlednie znajomości malarskie twórców tego plakatu, śród których wybijała się sylwetka Stanisława Miedzy — Tomaszewskiego, służyły oto teraz walce z okrutnym, perfidnym okupantem.

Stanisław Miedza-Tmaszewski ukryty pod konspiracyjnymi pseudonimami „Malarza”, „Wiśniewskiego”, „Bartoszka”, „Miedzy” był wiodącym pracownikiem Wydziału Propagandy i Prasy przy Komendzie Głównej AK, gdzie specjalnością jego był dział druków plakatowych i afiszowych. W zaabsorbowaną sferę osobistych, niezwykłych przeżyć uwagę oddziałów powstańczych i warszawskiej ludności cywilnej wzbierał się przeciw mocno, sugestywny, ogólnonarodowy wyraz takich jego plakatów — przyczynów, niekiedy wręcz monitów pilających, jak:

„W walce — odwet za krew tysięcy Polaków”, „Walcząc z ogniem — bronisz Warszawy”, „Walka z ogniem — to akcja bojowa” itd.

Najlepszy z nich, właśnie „W walce — odwet za krew...” był wykonany w drukarni przy ul. Chmielnej.

Plastyczna działalność plakatu polskiego miała swoją szczególnie praktyczną stronę. Polegała ona na przygotowaniu w początkowym okresie Powstania druków i plakatów związanych z mobilizacją, a po częściowym opanowaniu terenu na przygotowaniu waloryzowanych żołnierskich gazet ściennych w restauracjach i kantynach.

Lokal dystrybucyjny znajdował się przy ul. Mazowieckiej. Obok szermującej udanymi środkami plastyki polskiej sekundowały w bojowych rekwizytach operujące: rzeźba w postaci wartościowych drzeworytów w prasie, muzyka a nawet powstańcza Melpomena — teatr i żołnierska piosenka. Dziwny, jedyny w swoim rodzaju w świecie — teatr, oczywiście szokujący eksperymentalny, jeszcze wczoraj dostosowany, akomodujący z warunkami konspiracji, a już dziś nagle uderzający frapującą finezją frazsek i chłostą wdzięcznej a dogiębnej satyry aktualnej w programie teatrzyku „Kukielki pod barykadą”.

Teatrzyk ten otrzymywał normalne, pochlębne — a jakże — recenzje powstańczej prasy, jak by to się działo nie w dymie pożarów i kurzu krwi, ale z okazji jakiegoś prasowego przeglądu bardziej eksponowanego sezonu spektakli teatralnych.

Przedstawienia tegoż teatrzyku „Kukielki pod barykadami” odbywały się w prywatnych mieszkaniach, w akustycznych studniach okolonych zwartą ścianą kamienic podwórek warszawskich u wezwłowa barykad, kontrastujących wybuchającą wesołą, krotochwilną piosenką z czającą się agresją śmierci.

Dziewiątego dnia Powstania nadaje po raz pierwszy swój program stacja „Warszawianka” — pierwiastkowy zaczął — „Polskiego Radia”. Na falach eteru płynie głos: „Halo, halo — tu Polskie Radio. Wznawiamy po pięćdziesięciu przerwie nadawanie audycji. Dla Warszawy na falach średnich 22,4 m”.

Tegoż dnia o godz. 12 nadano sygnał czasu, a następnie w Warszawie barykad i krwi uroczyste zabrzmiał hejnał mariacki.

Trzeba było jednak jeszcze tygodnia czasu, by i zagranica odbierała program „warszawskiego eteru” — spełniała tę misję stacja radiowa „Błyskawica” pracująca wytrwale i regularnie na falach krótkich... W chwilach wolnych od walki, od śmierci, od urazów cielesnych i psychicznych, chło-

pak w baskijce dziewczynisko w modnych „anglikach”, podłotek w koszmarnych, okupacyjnych, iście galernicznych drewniakach, sięgali po prasę, po oręż słowa i myśli — by odetchnąć wiewem ożywczym, który ten oręż składając się, tnąc i wicherząc na miarę wydarzeń — potęgował! Jakaż to była ta prasa! Różnorodna w swoich spostrzeżeniach politycznych, ale solidna jeśli chodzi o najważniejsze przyczyny podjętej walki i nieuniknioną konieczność krwawej ofiary w powstaniu, które już wybuchło.

Niemal każde ugrupowanie polityczne, każda organizacja bojowa miała w Warszawie swój organ prasowy.

Armia Krajowa i pozostająca pod dowództwem gen. A. Tarnawy — Petrykowskiego jako komendanta głównego organizacja — Korpus Bezpieczeństwa miała swój „Biuletyn Informacyjny”, rozbudowany jednak do rozmiarów normalnej gazety, PPR, AL, ugrupowania lewicowo-marksistowskie, miały „Armię Ludową” i „Trybunę Wolności”, Polska Partia Socjalistyczna tradycyjnego, zaśluzonego „Robotnika”. Stronnictwo Pracy — „Kurier Stołeczny”. Mieszkańcy stolicy hołdujący ideom Stronnictwa Ludowego mieli swoje pisma w postaci: „Żywią i Bronią”, „Nowy Świat”, natomiast hołdujący „endec-



kim” ideom Stronnictwa Narodowego — „Rzeczpospolitą Polską” i „Walkę”.

Z socjalistycznej świeżości polemem wiodący swe publiczne tony „Demokrata”, szedł w jednej parze bojowego poloneza powstańczego z socjalizującą również „Warszawianką”.

Ponadto grały donośnym „dłużej niż chwilę” trwającym w sercu apelem surmy powstańczych publicystów gazet regionalnych, takich jak „Głos Warszawy” — gromkiego pogłosu Pragi i „Barykadę Powiśla” — prasowego reprezentanta Solca, Mącznej, Wybrzeża Kościuszkowskiego. To ostatnie pismo miało nawet swoją kolumnę literacką — „Barykada mówi o walce, krwi i wolności”.

A teraz niech mówi X muza w helmie — kinematografia Powstańczej Warszawy.

Zapanowała wprawdzie krótko ale wymownie w swym jednym z ocalałych po kampanii 1939 r. przybytków — kinie „Palladium” przy ul. Złotej. Choć nie przyniosła ona jak przed wojną w epoce potopu Hollywoodem, „złotego runa” Paramount Pictures, Warner Bros i tradycyjnego pokrzyku niedźwiedzia Metro Goldwyn Mayer, to jednak obdarzyła Warszawę czymś nieporównanie wspanialszym — obrazem Jej samej w tamtych dniach, repertuarem „kwi i chwały”...

Był nim film dokumentalny, pełnometrażowy o toczącym się powstaniu. Film — dzieło fotoreporterów Wydziału Propagandy Armii Krajowej. Wielkie zasługi przy filmowaniu scen z Powstania Warszawskiego, takich jak np. opanowanie gmachu centrali telefonicznej na Zielnej, tzw. „PASTY” oddał znany oszczepnik przedwojenny, olimpijczyk z Berlina r. 1936 — a więc kolega Marysi Kwaśniewskiej, Jadwigi Wajsołówny i... rotmistrza Tadeusza Komorowskiego, późniejszego właśnie generała Bór-Komorowskiego — Eugeniusz Lokajski. Podobnie jak znany postępowy filmowiec amerykański, Julian Bryan, dokonywał z pasją prawdziwego bohatera zdjęć obłączonej Warszawy w roku 1939 — do swego późniejszego filmu — kroniki „I ve just returned from Warsaw”, tak teraz, w sierpniu 1944 r. Eugeniusz Lokajski sporządził zdjęcia do swojej kroniki o Powstaniu Warszawskim.

Dań serdeczną sportu polskiego Ojczyźnie przypieczętował ofiarą własnego życia, podobnie jak wielki „Kusy”, jak wybitny długodystansowiec Józef Noji, jak Broniek Czech i Helena Marusarzówna, jak mistrz szacho-

wy Przepiorka i jak reprezentacyjny piłkarz polski trener Marian Spoja — futbolista poznańskiej Warty i jak wreszcie dziennikarz sportowy Wilecki. Lokajski zginął w akcji bojowej u schyłku Powstania 25 września 1944 r. pozostawiając w chlubnej spuściźnie precenną kolekcję licznych zdjęć z reportażu w walce.

Nie milczały muzy i... po przeciwnej, uroczej stronie barykad.

Młody poeta niemiecki Lenau w swoim wierszu „Verraten” („Zdradzeni”), w którym dokonał oczywiście swoistej interpretacji „zdrady”, mówił w granicach dopuszczalnego dlań superlatywu o dobrej, mocnej postawie żołnierzy z białoczerwoną opaską na ramieniu. Wiersz był nawet drukowany w oficjalnym organie partii hitlerowskiej NSDAP — „Volkischer Beobachter” na przełomie września i października 1944 r.

Wiele innych pism niemieckich pozwalało sobie na słowa kurtuazyjnej rycekości dla „tapfere, starke” — dzielnej, mocnej postawy żołnierzy Powstania, szczególnie przy okazji wyjścia w zwartych kolumnach pozostałych oddziałów AK z Warszawy.

Niemiecka kronika filmowa — „Deutsche Wochenschau” w miesiącu październiku 1944 r. demonstrowała walkę z „Polnische Aufstand”, szczególnie wymarsz oddziałów polskich z Warszawy, kapitulację w Ożarowie wobec dem Bacha, sylwetkę pokonanego wodza powstańców Bór-Komorowskiego salutowanego właśnie przez sztab Bacha-Zalewskiego. Demonstrowane migawki zapatrywane były spekulatywnymi komentarzami detej pseudorycerskości wobec pokonanego przeciwnika.

Poezja Powstania Warszawskiego!

Rozwinęła szeroko skrzydła swe uskrzydłona siostrzyca warszawskiej Nike W posumie jej skrzydeł różnie było walczyć Warszawie. Sama — Słowo i Natchnienie, nie żądała słów, szczególnie tych uznania w audycjach gościnnego skądinąd Albionu — żądała amunicji...

Jak mówi o tym wiersz „Żądamy amunicji” Zbigniewa Jasńskiego.

.....Halo! Tu serce Polski!... Tu mów!

Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go za was!
Oklasków też nie trzeba! Żądamy amunicji!”

Poeta powstańczy Władysław Jasński — pseudonim „Rudy” współczesny epigon Staro Miasta, tego Staro Miasta w krwi i walce, w swoim poemacie o ileż bardziej tragicznym niż motywy patriotyczne, niekiedy staroswiecko tkliwe dawnego „pieśniarza Warszawy” Artura Oppmana (Or — Ota) mówi:

*Stare Miasto czołami kamienic
Stoi naprzeciw przemocy,
Stare Miasto zdobywa wieniec,
Stare Miasto krwią broczy.*

*Ala Stare Miasto — to szaniec,
barykada wolności i sławy,
barykada nie podda się za nic,
Stare miasto — to szermierz Warszawy!*

Stare Miasto podawało się wtedy śmiertelnym podaniem, spiętrzaniem się w grzyzu na skutek ustawicznego bombardowania eskadry niemieckiej ku wcześniej zwalonej kolumnie Zygmunta.

Niełatwo jest wspominać tragedię września 1939 r. w obliczu nowo zarysowującej się tragedii.

Wszak równo pięć lat temu, 6 sierpnia 1939 r., w 25 rocznicę wymarszu Pierwszej Kadrowej z Oleandrów w Krakowie, marszałek Rydz-Śmigły mówił:

„Nie damy nie tylko sukmany, ale najmniejszego guzika od niej!”

Naprawdę więc muzy nie milczy... Nie dały sobie narzucić przymusowego urlopu, przymusowej rekreacji okresu wojny i okupacji. Utrwały się w pamięci pokolenia — jako bene meritae — dobrze zasłużone w służbie Powstania.

Były w walce, na barykadach, w bramach warszawskich kamienic, w naprędcie zaimprowizowanych przybytkach powstańczej Melpomeny, drukarniach, w ciemniach optycznych laboratoriów fotografików — żołnierzy, na falach eteru. Słowem, były wszędzie tam, gdzie je lustrował rozkaz, gnała żądza odwetu lub po prostu zapraszała tkliwa potrzeba otuchy cierpiącym, ginącym, a przecież nieujarzmionym.

ZBIGNIEW JAN WAYDYK



APARTHEID

wódcą jest premier Verwoerd głosi supremację rasy białej nad czarną. Efektem tego założenia, są tworzone rezerwy dla ludności czarnej i brązowej (Azjaci), które w ilości 8 tzw. bantustanów, rozwijać się mają osobno pod własnymi rządami, w skład których wchodzić będą ci naczelnicy czy szefowie plemion, którzy poprą politykę rządu. W r. 1963 powstał pierwszy taki bantustan w okręgu Transkei. Premierem wybrano zgodnie co do teorii apartheidu Kaisera Daliwanoge Mantarima. Rasiści, chcąc umocnić swą pozycję w kraju, gdzie na



3 miliony białych przypada 12 milionów ludności kolorowej, otworzyli szeroko porty swego kraju dla białych imigrantów. Bomby, procesy polityczne, aresztowania, mają przekonać czarnych Afrykanów co do wartości doktryny apartheidu. RPA — jedno z najbogatszych państw afrykańskich, o bogatych złożach naturalnych, z wysoce rozwiniętym przemysłem spożywczym, włókienniczym, metalowym i chemicznym, kieruje się polityką wsteczną i beznadziejną.

RPA szuka partnerów w kapitalistycznych państwach, wiąże się sojuszami wojskowymi (m. in. z Portugalią) i coraz bardziej wkiła się w labirynt sprzeczności i izolacji.

Analogiczna walka toczy się w Stanach Zjednoczonych. Murzyni demonstrują, walczą o swe prawa wyborcze. Ku Klux Klan pali krzyże, zakapturzone postacie dokonują mordów działaczy murzyńskich, giną biali i czarni, ale zwolennicy rasizmu nie dają za wygraną. Ludzą się jeszcze wygraną, która z każdym dniem staje się coraz bardziej odległą. Murzyni prędzej czy później walkę podjętą wygrają. Boddcem dla nich są mło-



de państwa afrykańskie, przedstawiciele tych państw w ONZ, w dyplomacji, misjach handlowych, z którymi ci sami rasiści na arenie światowej muszą się liczyć. Jesteśmy świadkami, możemy sobie powiedzieć, końca ponurej ery rasizmu, który zapoczątkował Fuhrer.

JANUSZ CHODAK

Jerzy Aleksander

UCIECZKA

BOHATERA

(9)

Wziął mydło do ręki. Raptem usłyszał głos ojca:

— O, idźcie do nas komendant straży pożarnej, jakiś porucznik milicji i kilku cywilów.

Mydło wyszłiznęło się z rąk Janka i upadło na podłogę.

— Idą po mnie. Już się wszystko wydało — przemknęła przez głowę podpalacza straszna myśl. Wiedziony jakimś odruchem skrył się do pokoju. Usłyszał od razu kilka głosów:

— Dzień dobry, dzień dobry.

— Jest Jank w domu? Mamy do niego mały interes — rzekł teraz kapitan pożarnictwa.

— A jest — odpowiedziała Jaworska — Jank, gdzie się podział?

Otworzyła drzwi i wypchnęła pobladłego ze strachu syna z pokoju do kuchni. W tym momencie izba wypełniła oślepiające błyski. Jank zakrył oczy rękami. Dopiero po paru sekundach uświadomił sobie, że był to flesz aparatów fotograficznych.

— Oto nasz bohater — powiedział znów komendant. — A to — zwrócił się do chłopca — są panowie z prasy. Opowiedz im, jak ratowałeś malutką Irenkę.

— Kiedy ja... kiedy ja — jękał się bohater i nie mógł wydobyć z siebie sensownego zdania. Nagle zdrętwiał. Porucznik milicji patrzył to na namydlone ręce chłopca, to znów na leżące na podłodze mydło. Jank odruchowo schował ręce za siebie, jakby się ich wstydził. Z trudem opamiętał się.

— Oto moja zimna krew — stwierdził w duchu. — Porucznik z mojego zachowania się na pewno wywnioskował już, że mam nieczyste sumienie.

Ogarnęła go złość na samego siebie.

— Dobrze — postanowił — zaraz opowiem im całą prawdę.

Dziennikarze nie mogąc doczekać się wyjaśnień od bohatera,

skrętnie notowali informacje kapitana. Kiedy mówił on o zawaleniu się chałupy w moment po uratowaniu Irki, chłopiec przerwał mu:

— Bo to proszę panów cała sprawa wygląda zupełnie inaczej. Ja nie jestem wcale bohaterem. Ja...

Spojrzał na opromienioną dumą twarz ojca i nagle zawahał się. Wyobraził sobie, jak bardzo zmartwią i przestraszą się rodzice, kiedy usłyszą słowa strasznej prawdy.

— Przyznam się, ale nie teraz. Powiem na podwórzu. Dogonię oficerów i opowiem im wszystko po kolei — myślał gorączkowo.

— A więc jak według ciebie wygląda cała sprawa? — zaciekawili się reporterzy.

— Bo, bo... — jękał się i nagle w głowie zaświtała mu właściwa, jego zdaniem, odpowiedź:

— Bo tam nie było ani tyle dymu ani tak gorąco — jak mówił pan komendant. — W ogóle nic mi nie groziło. Po prostu wszedłem i wyszedłem.

Oficerowie i dziennikarze wybuchnęli śmiechem.

— Ja i porucznik musimy już iść do swoich obowiązków — rzekł kapitan i pogłaskał Janka po włosach. — Trzymaj się, bę-

dzie z ciebie kiedyś świetny strażak.

— Może panowie coś zjedzą albo chociaż mleka się napiją — zaproponowała Jaworska.

— Dziękuję bardzo — odpowiedział porucznik. — Spieszymy się, bo trzeba ustalić okoliczności wybuchu pożaru i znaleźć winowajcę.

Dziennikarze wyszli razem z oficerami.

— Napiszą o tobie w gazetach — zaszczębiotała radośnie Zosia.

Do serca Janka napłynęła nowa fala wstydu za nieszczenie sąsiadów i własne tchórzostwo.

— Trzeba skończyć z tą tragiczną komedią — oznajmił sam sobie w duchu. — Przyznam się i niech się dzieje co chce.

Począł się szybko myć i przebierać. Rodzice jednak nie wypuścili go z domu przed śniadaniem. Nie mógł nic jeść. Chleb upodobał się do kamienia, a kawa do gorącej lawy wulkanicznej. Wreszcie wyrwał się z mieszkania. Nie potrzebował długo szukać komendanta powiatowego straży pożarnej i porucznika MO. Otoczeni dużym tłumem ludzi stali koło zgłiszcz zagrody Budzyńskiej. Kiedy Jank podszedł bliżej, usłyszał zawołanie wdowy:

c. d. n.

NASZE BŁĘDY ŻYWIENIOWE

Z roku na rok przeciętna długość życia wzrasta. Starych ludzi przybywa. Otyli dużo rzadziej dożywają późnego wieku, niż ludzie szczupli, a nawet jeśli dożyją późnych lat to są z zasady schorzali i niedomagający. Jedną z najważniejszych dróg do uzyskania pogodnej, pozytywnej starości jest umiejętność racjonalnego odżywiania się. Ogólnie znamy nasze błędy dotyczące żywienia, ale niestety z tej znajomości nader rzadko wyciągamy praktyczne wnioski.

Poza smutnym faktem ogromnych sum wydawanych na alkohol, poza tym, że jadamy za dużo kartofli i pieczywa, a za mało produktów białkowych warzyw i owoców, mamy mnóstwo fatalnych przyzwyczajęń. Wiadomo, przyzwyczajenia to druga natura, a wiadomo też jak trudno zmienić naturę. Jeżeli ktoś całe życie słyszy, że pijąc mleko do pieczeni wieprzowej dostanie bólów żołądka, to na pewno dostanie! A Szwedzi piją mleko do każdego posiłku i nie chorują od tego.

Jednym z pospolitych naszych złych nawyków jest zjadanie pierwszego śniadania byle jak i naprędce. Postępujemy akurat odwrotnie niż nakazuje cała wiedza żywieniowa. Śniadanie „lekkie”, późny obiad, obfita kolacja, a zwykle zaraz po niej idziemy spać. A tymczasem już dawno udowodniono, że śniadanie przed dniem pracy powinno być posilne i obfite, obiad w środku dnia dość obfity, a kolacja lekka, raczej skąpa i nie później niż na dwie godziny przed snem.

Bardzo ważnym momentem dla dobrego przyswajania przez organizm jedzenia jest punktualność w spożywaniu posiłków. Cudzoziemca zdumiewa w Polsce absolutne lekceważenie tej zasady. Potrafimy jadać o jak najbardziej nieprawidłowych porach, lub pracować przez 8-10 godzin bez jedzenia. Ta nasza niepunktualność w spożywaniu posiłków jest niezdrowa i prowadzi do przykrych skutków. Że wymienię tylko: zmęczenie, bóle głowy, niestrawność.

Jadamy za mało warzyw w mieście, ale wieś, ich dostarczycielka, jada jeszcze mniej. Ziemiaki i jeszcze raz ziemiaki oparowały kuchnię wiejską, potem kapusta, zwykle gotowana, a z mięs tłusa wieprzowina i boczek. Zapracowana gospodyni na wsi karmi zwykle domowników trzy razy dziennie tym samym, a tymczasem urozmaicenie posiłków spożywanych produktów to jedna z podstawowych zasad racjonalnego żywienia. Istnieje grupa produktów bez których człowiek nie może być zdrowy. Stąd żywieniowcy nazywają je produktami ochronnymi. Produktów ochronnych w naszej kuchni jest o wiele za mało. Mówiąc konkretnie jadamy za mało: mleka, podrobów, jaj, chudego mięsa, warzyw liściastych, warzyw surowych i owoców.

Słynny amerykański żywieniowiec, prof. Mac Callum wprowadził podział produktów spożywczych na 5 grup żywnościowych:

- 1) Mleko, sery, masło, oleje jadalne, margaryna.
- 2) Warzywa, ziemniaki, owoce.
- 3) Mięso, ryby, jaja.
- 4) Chleb, mąka, kasze.
- 5) Inne produkty i przyprawy.

Pouczał przy tym: „musisz z każdej z tych pięciu grup coś zjeść codziennie, a resztę — jedz co chcesz, bylebyś utrzymywał wagę zgodną z normą”.

A o tej „wadze zgodnej z normą” pomówimy już innym razem.

Dr A. M.

W gabinecie dyrektora cyrku dzwoni telefon:

— Mam dla pana sensacyjny numer!

— Na czym polega?

— Podaje się któremuś z widzów gazetę, on czyta kilka wierszy tekstu a ja tłumaczę to na angielski.

— Czy pan kpi ze mnie? Nie ma w tym żadnej sensacji!

— Ależ jest, bo ja jestem papugą.

☆

Fachowiec zgłasza się w jednej z firm samochodowych. Na pytanie szefa personalnego o referencje, wyjaśnia:

— Pracowałem dziewięć lat w fabryce Chevrolet w USA.

— Co pan tam robił?

— Przyśrubowywałem mutrę nr 127.

☆

Janek stosując się do zaleceń lekarza pije szklankę mleka i krzywiąc się mówi:

— Teraz rozumiem, dlaczego noworodki płaczą całymi dniami.

☆

Kierownik zakładu do zwiedzającego:
— Ta maszyna wykonuje pracę czterech ludzi.

— A kto ją kontroluje?

— Do tego mamy pięciu specjalistów.

☆

Gość do kelnera:

— I pan to nazywa befsztykiem?

— Ja nie, to szef kuchni.

☆

Trzej harcerze meldują drużynowemu, że spełnili dobry uczynek:

— Przeprowadziliśmy we trzech jedną starszą panią przez bardzo ruchliwą ulicę.

— To bardzo ładnie. Ale dlaczego pomagaliście tej pani aż we trzech?

— Bo ona wcale nie chciała przejść.

☆

Właściciel małego hotelu w Szwajcarii przedstawia gościowi rachunek.

Gość oburzony:

— Jak to? Dziesięć franków za elektryczność? Przecież tu nie ma elektryczności!

— Właśnie. Muszę ją założyć i stąd ta opłata.

CIEKAWY...

■ **ELEKTRONOWI MASZYNIŚCI.** Przez 10 miesięcy na 11-kilometrowym odcinku linii moskiewsko-pietrogradzkiej metra w Leningradzie kursowały dwa eksperymentalne pociągi, w których obowiązki maszynistów pełniły roboty. Przebywający w kabinach maszynisty kolejarze pełnili jedynie rolę obserwatorów. Eksperyment wypadł pomyślnie. Obecnie linia ta została całkowicie zautomatyzowana. 8 stacji oraz 24 pociągi, które kursują na tym odcinku, otrzymały aparaty automatycznego sterowania. Jest to „pierwszy stopień — oświadczył główny inżynier leningradzkiej kolei podziemnej — na drodze do przekształcenia metra w automatyczny zespół transportu podziemnego”.

■ **ŁODZIA PRZEZ ATLANTYK.** Z Londynu donoszą, że 27-letni żeglarz angielski, John Riding, przepłynął samotnie Atlantyk na małej łodzi żaglowej. Łódź, nazwana przez Ridinga „Sea Egg” — „Morskie Jajo”. Jako że przypomina skorupę jaja — mierzy zaledwie 3,6 m długości i — praktycznie biorąc — nie nadaje się do takiego przedsięwzięcia, brak bowiem na niej, nie mówiąc już o niedostatkach nawigacyjnych, nawet dość miejsca na zmagazynowanie niezbędnych zapasów żywności i wody. Tymczasem Riding zaryzykował samotną podróż i po 67 dniach żeglugi, bez jakichkolwiek kontaktów ze światem, zawiązał 1 lipca br. do Hamilton na Bermudach. Warto zaznaczyć, że jest to najmniejsza jednostka, jaka kiedykolwiek samodzielnie przepłynęła przez Atlantyk. Ridingowi należą się słowa uznania za dokonanie tego wyczynu, nie mającego precedensu w historii żeglugi oceanicznej.

■ **OPERACJA.** Jak podaje agencja TASS, w szpitalu stawropolskim przeprowadzono niezwykle ciekawą i skomplikowaną operację. Operacji została poddana jednoroczna dziewczynka, która zasadniczo była zlepkiem dwóch organizmów. Dziewczynka „urodziła się z 4 rękami, 4 nogami, miała dwie miednicę i 5 nerek. Na jej piersi i brzuszku znajdował się drugi tułów, znacznie mniejszych rozmiarów, ale bez głowy i serca”. Dodatkowe trudności przy przeprowadzeniu operacji sprawiał fakt, że dziewczynka była bardzo słaba, gdyż w ciągu tego jednego roku życia przeszła już „dwukrotnie zapalenie płuc, wietrzną ospę oraz operację ucha środkowego”. W trakcie operacji, przy usuwaniu dodatkowego tułowia, lekarze stwierdzili, że oba te organizmy mają wspólną jamę brzuszną, z której trzeba było usunąć 3 dodatkowe nerki. Cały zabieg chirurgiczny trwał 2,5 godziny i zakończył się pełnym sukcesem lekarzy stawropolskich.

■ **„JOMIURI”.** Jedna z japońskich firm zbudowała niewielki okręcik podwodny, przeznaczony do celów badawczych. „Jumiuri”, tak nazwano ten okręcik, którego kadłub wykonano z bardzo mocnej stali, ma 14,5 m długości, 2,5 m szerokości, waży 35 ton i może zanurzać się na głębokość do 320 m. Okręcik jest zaopatrzony w siedem iluminatorów, przez które sześciuosobowa załoga może obserwować i filmować życie w głębinach morskich. Specjalne chwytaki i sieci umożliwiają pobieranie próbek wodorostu, łapanie ryb itp.

■ **DLUŻSZA DOBA.** Uczni radzieccy, posługując się bardzo precyzyjnymi zegarami atomowymi i molekularnymi, dokonali ciekawego odkrycia. Mianowicie stwierdzili, że prędkość obrotu Ziemi wokół osi zmniejszyła się w ciągu ostatnich 10 lat tak bardzo, jak w ciągu poprzednich stu lat. Co prawda, ubytek prędkości jest bardzo niewielki: doba bowiem wydłużyła się zaledwie o 13 dziesięciotysięcznych części sekundy. Zmniejszenie się prędkości obrotu Ziemi spowodowane zostało — jak przypuszczają uczeni — najprawdopodobniej zmianami aktywności słonecznej.

■ **„TERATRON”** — tak nazwali uczeni angielscy przyrząd, który pozwala widzieć przez mgłę. Przyrząd ten wysyła fale — co prawda — krótsze od fal radarowych, ale dłuższe od świetlnych. Fale „teratronu” omijają — tak jak fale radarowe — cząstki mgły, przy czym dają obraz o wiele wyraźniejszy niż aparat radarowy. Dlatego też „teratron” znajduje zastosowanie przede wszystkim w samolotach i lokomotywach.

■ **„ZAŚMIECONY” KOSMOS.** Z Londynu donoszą, że angielscy specjaliści zajęli się ostatnio bardzo poważnie problemem „zaśmieconej” przestrzeni kosmicznej. W bezpośrednim sąsiedztwie naszego globu znajduje się obecnie przeszło 480 obiektów pochodzenia ziemskiego, przy czym zaledwie 40 — to czynne satelity Ziemi. Do „zaśmiecenia” Kosmosu przyczyniła się przede wszystkim jedna z amerykańskich rakiet, która — wystrzelona przed czterema laty — eksplodowała, tworząc wokół Ziemi pierścien z odłamków. Specjalne stacje naziemne, przeznaczone zasadniczo do obserwowania czynnych sputników, obserwują również wszystkie kosmiczne „śmieci”, których orbity znają doskonale uczeni. Przejrzają oni przed dalszym nierozważnym „zaśmiecaniem” przestrzeni kosmicznej, gdyż — ich zdaniem — stworzy to bardzo poważne niebezpieczeństwo dla przyszłych kosmonautów. Jednocześnie sugerują, że już obecnie należy zastanowić się nad sposobem oczyszczenia najbliższego otoczenia Ziemi z niepożądanych śmieci. Być może, że w niedługim czasie będziemy świadkami wielkiego „sprzątnięcia” w Kosmosie. (w)

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

P. Eugeniusz Klonowski, Częstochowa nadesłał do redakcji wiersz Adama Asnyka pt. „Pod stopy krzyża“ i radzi, abyśmy wszyscy go przeczytali i wnikliwie przemyśleli. Prosi również, aby go zamieścić na łamach „Rodziny“.

Nie wiemy, ile P. Eugeniusz w sobie liczy, lecz nam się wydaje, że P. Eugeniusz był jeszcze bardzo mały, kiedyśmy ten wiersz już czytali. Znamy również genezę tego utworu.

Przeczytaliśmy go chętnie jeszcze raz, choć nie widzimy dostatecznych przyczyn, aby go zamieścić na łamach „Rodziny“. Jest on nie tylko smutny, ale wsącza do duszy ludzkiej bezsilność i beznadziejność, a my pragniemy budzić wiarę w Chrystusa i Jego stałą obecność wśród nas w modlitwie, w pracy, w walce, w dole i niedoli. Pozdrawiamy serdecznie.

Pani Julia Dusza z Kielec napisała list do redakcji i opisała zbrodnię. Której dokonał rzeźnik na swoim współniku. Pani Julio, tego rodzaju sprawami nie zajmujemy się z zasady. Zajmuje się tym prasa codzienna i właściwe władze.

Artykułu ze „Słowa Ludu“ o zamordowaniu dziecka przez ojca również przedrukowywać nie będziemy.

Wzdrygamy się przed takimi faktami i nie widzimy sensu karmić nimi naszych czytelników. Panią Julię serdecznie pozdrawiamy, zdrowia i błogosławieństwa życzymy.

Pan Jan Kunicki z Białegostoku zapytuje w swym liście, czy Kościół Polskokatolicki uznaje świętych i czy ma też świętych swego Kościoła.

Kościół Polskokatolicki cześci apostołów, męczenników, którzy tworząc fundamenty Kościoła za prawdę Chrystusa życie swe położyli.

Niemniej do niektórych świętych późniejszych, wyniesionych na ołtarz przez Kościół rzymskokatolicki, odnosi się sceptycznie.

Dążenie bowiem do doskonałości, do świętości jest obowiązkiem wszystkich chrześcijan, a nie tylko dusz wybranych. Tak też to rozumiał św. Paweł Apostoł, gdy pisał do pierwszych gmin chrześcijańskich i pozdrawiał świętych zboru.

Ci, którzy przyjęli chrzest, którzy odrodzili się z wody i z ducha, ci, którzy w jedności z Bogiem żyli i umarli, będą oglądać Boga twarzą w twarz, jako zbawieni i święci.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa nie znają procesów kanonizacyjnych wraz ze świadkami, obrońcami, no i wszystkimi opłatami za uznanie jakiegoś zmarłego świętym.

Procedura beatyfikacji i kanonizacji jest już wytworem papieżstwa i nie ma

nic wspólnego z tradycją Kościoła Apostolskiego.

Wiemy z historii ostatnich stuleci, że warunkiem kanonizacji było nie świętobliwe życie i praca dla Chrystusa, lecz zasługi wobec Kościoła i jego hierarchii.

Kościół Polskokatolicki stojąc na straży nauki apostoelskiej czci i uznaje świętych Pańskich, naucza jednak, że opłacony proces kanonizacyjny lub uznanie kogoś ze względów politycznych przez hierarchię rzymską nie jest ostatecznym kryterium do czci, ani do używania jego pośrednictwa.

Kościół Polskokatolicki naucza, że są miliony świętych ludzi, którzy żyjąc według przykazań Bożych i umierając pojednani z Bogiem, osiągają zbawienie i żywot wieczny, który jest celem każdego wierzącego chrześcijanina.

Procesy kanonizacyjne są nam obce, są bowiem sprzeczne z duchem Ewangelii i tradycji pierwotnych chrześcijan.

Ksiądz rzymskokatolicki z XVIII w., Hugo Kollątaj, w swej rozprawie o kanonizacji Jana Kantego tak pisze:

„Wiek siedemnasty zatrudniał się najwięcej kanonizacjami i jeszcze w osiemnastym wieku trybunały rzymskie były zarzucone tego gatunku sprawami. Najczęściej jednak kanonizowano fundatorów różnych zakonów. Doktorowie akademii krakowskiej nienawidząc teologii molinistów, dlatego że nienawidzili jezuitów, trzymali się sentencji św. Tomasza, który był dominikaninem. Chcąc mieć własnego doktora postanowili u siebie podnieść stopniami do tej dostojności Jana Kantego, którego zwłoki blisko od trzech wieków wystawione były w kościele kolegiaty św. Anny ku czci powszechnej“.

Chciano również przeprowadzić następnie jego kanonizację.

Dalej pisze H. Kollątaj, że aby uczynić go doktorem Kościoła, należało przedstawić jego dzieła teologiczne. Wysłano więc jego pisma do Rzymu, z których wynikało, że Jan Kanty głosił wyższość soboru nad papieżem. Skutek był taki, że nie tylko nie chciano go uznać doktorem Kościoła, lecz polecono jego zwłoki usunąć z kościoła.

Akademicy zasięgnęli jednak rady adwokatów rzymskich, którzy podali sposób uratowania sprawy, „abyademia krakowska dowiodła, że pisma w kongregacji złożone nie są Jana Kantego“.

„Przeto 10 lat pracowali nad tym akademicy, aby go zrobić doktorem Kościoła, sześć lat kosztowało ich znowu, aby można zaprzeczyć, że pisma teologiczne i komentarze nie są jego, lecz innego Jana“ (H. Kollątaj).

„Aby więc zrobić Jana Kantego świętym, musieli akademicy zaprzeczyć mu sławy rozsądnego teologa i zaprzestać popierania wyniesienia go do dostojności doktora kościelnego“.

Ostatecznie po tych wybiegach sprawa doprowadzono do pomyślnego końca i papież Klemens XIII ogłosił Jana Kantego świętym. Kanonizacja naszego teologa kosztowała akademię krakowską blisko milion złotych polskich. Dlatego my, polscy katolicy, uważamy, że kryteria świętości św. Pawła są bardziej słuszne i zgodne z Ewangelią Jezusa Chrystusa niż te, które stosuje Rzym w ciągu całych stuleci. Pozdrawiamy.

DROGI CZYTELNIKU!

Czy odnowiłeś już prenumeratę „Rodziny“?

Prenumerata zapewnia stałą dostawę tygodnika do domu.

Przypominamy, że termin dokonywania wpłat na prenumeratę upływa z dniem **15 każdego miesiąca** na następny miesiąc i ewentualnie dłuższe okresy.

ADMINISTRACJA

Uprzejmie wyjaśniamy, że następujące książki są już wyczerpane: „Ziarna Boże“, „Zarys dziejów papieżstwa“, „Przez Maryję do Jezusa“, „Na drodze do zjednoczenia chrześcijaństwa“.

N O W O Ś Ć!

Nakładem WLR

ukazała się ważna pozycja wydawnicza, której autorem jest ks. dr S. Włodarski.

JEST TO

„HISTORIA
KOŚCIOŁA

POLSKOKATOLICKIEGO“

Cena zł 90, ale nakład tylko 1500 egz.

P O L E C A M Y!

SIERPIEŃ

N	1	VIII po Zesł. Ducha Sw., Rocznica Powstania Warsz.
P	2	MB Anielskiej
W	3	Lidii, Nikodema
S	4	Dominika, Protazego
C	5	Oswalda
P	6	Przemienienia Pańskiego
S	7	Kajetana, Konrada



1. Prezydent NRF Lübke wśród najwyższych oficerów „Gestapo” w 1938 roku w Peenemunde.
2. Artysta-rzemieślnik Józef Bocek z drzewa odślania najpiękniejsze formy.



Montecatini z Milano odniósł wielki sukces w Budapeszcie nie tylko dzięki prezentacji nowoczesnych wyrobów ze sztucznych materiałów, lecz także dzięki sympatycznym i ładnym modelkom, które prezentowały jego wyroby.

RAK W FILIŻANCE KAWY

Od kilku lat trwa na całym świecie kampania antynikotynowa. Zainicjowali ją lekarze, którzy wystąpili z twierdzeniem, że nikotyna ma olbrzymi wpływ na powstawanie raka płuc u większości palaczy. Na poparcie swego twierdzenia przytaczają wiele danych, uzyskanych po długoletnich obserwacjach. Co prawda — dotychczas jeszcze ostatecznie nie udowodniono ujemnych skutków palenia. Mimo to, a może właśnie dlatego — aby na wszelki wypadek zapobiec tej groźnej chorobie — przeciwnicy nikotyny wystąpili w wielu krajach z żądaniem, aby na opakowaniach papierosów były umieszczone ostrzeżenia: „uwaga, trucizna!”. Inna sprawa — czy te ostrzeżenia pomogą i zapobiegną paleniu. Na razie — jak wykazują dane statystyczne — palimy coraz więcej.

Ostatnio wysunęto przypuszczenie, że nie tylko nikotyna sprzyja powstawaniu raka. Rakotwórcza jest również kawa, którą pijemy w olbrzymich ilościach. Z teorią tą wystąpił japoński lekarz — dr Takahaszi z Tokio, który po długich i żmudnych badaniach opublikował ciekawe zestawienia statystyczne. Dane, uzyskane przez tokijskiego lekarza, wskazują, że „rak prostaty pozostaje w prostym stosunku współzależności do ilości średnio wypijanej kawy”. Tak np. w Szwecji gdzie spożycie kawy wynosi 8 kg rocznie na 1 mieszkańca, notuje się 17 razy więcej przypadków raka prostaty niż w Japonii, gdzie spożycie kawy jest minimalne.

Zdaniem tokijskiego lekarza — niewielkie ilości rakotwórczych węglowodanów, jakie odkryte w niektórych gatunkach kawy sprzyjają powstawaniu raka. Jednocześnie wysuwa on przypuszczenie, że w kawie istnieją pewne substancje chemiczne, które są zbliżone budową do hormonów, i one to właśnie powodują pojawienie się raka u smakoszów kawy.

Warto jednak dodać, że dr Takahaszi zastrzega się, iż przeprowadzone dotychczas badania nie jeszcze definitywnie nie udowadniają. Dopiero — zdaniem lekarza — po długoletnich obserwacjach będzie można na pewno stwierdzić czy jego przypuszczenia są słuszne.

(w)



Oto dzieło Richarda Neutra — światowej sławy architekta.

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Redaktor naczelny — Ks. mgr Tadeusz Gorgol. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilecza 31. Tel 28-97-84; 28-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumerata na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cenaprenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumerata na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7\$, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7\$, dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147250.